Nowele węgierskie

W TŁUMACZENIU

CZESŁAWA ŁUKASZKIEWICZA

LWÓW 1910

NAKŁAD KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO

WARSZAWA - E. WENDE i Ska (T. HIŻ i A. TURKUŁ)

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

SPIS RZECZY.

Nowele węgierskie

Ogół polski wie bardzo mało o rozwoju i ruchu literackim na Węgrzech. A szkoda, gdyż obecnie szczycą się Madziarzy kilkunastu wybitnymi talentami. Zwłaszcza na polu beletrystyki. Obok znanych już w całym świecie Herczega i Molnára, widzimy tam siły takie, jak Mikszáth, Zöldi, Ambrus, Kozma, Biró, Binder, Szomaházy, lub Bródy, z których każdy jest pewnego rodzaju specyalistą; wszyscy jednak z przyjemnością uprawiają kult formy nowelistycznej, co daje mi możność przedstawienia czytelnikowi polskiemu tych pisarzów węgierskich w sposób najwłaściwszy — przez podanie krótkich opowiadań, odzwierciedlających nieraz bardzo dobrze rodzaj ich talentu. Z utworów literatek madziarskich umieszczam w pierwszej seryi nowel tylko trzy: Cecylii Tormay, Jutki Miklós i wybitnej powieściopisarki Laury Lengyel.

Tłumacz.

FERENC HERCZEG.

BIAŁA PANIENKA.

Miałem swojego czasu oryginalne okrycie wiosenne, które moi koledzy z urzędu podatkowego zwykli byli nazywać »płaszczem rycerskim«. I rzeczywiście, było w kroju tego haweloka coś, co wyrobiło mi bezgraniczne zaufanie w sprawach pojedynkowych u moich insultowanych przyjaciół — i podczas kiedy dusze ich były napełnione największą otuchą, przeciwnicy nasi drżeli i truchleli z trwogi, już przy samem pojawieniu się mego płaszcza w ich mieszkaniu.

Był on bardzo długi i jasno popielaty, coś w tym guście, jak liście srebrzystej topoli; pelerynę miał po łokcie zawsze szczelnie pozapinaną, być może ze względu na jaskrawo-niebieską podszewkę, nasianą gęsto kraśnemi podkowami.

Nie wiem dlaczego, ale hawelok mój odznaczał się jakimś specyalnie kasynowym zapachem i może przez to właśnie robił na ludzi wrażenie bezwzględnej rycerskości, która musi doprowadzić do ustawienia się naprzeciw wycelowanej lufy pistoletu.

Kiedy wdziałem go na siebie i w towarzystwie

jeszcze jednego przyjaciela wchodziłem do mieszkania strony, będącej powodem awantury, to — przysięgam Bogu — nie było żywej istoty w całym domu, która nie wiedziałaby, o co idzie.

Żona pana, z którym chciałem się widzieć, rzucała tylko jedno spojrzenie na mój płaszcz, bladła i mówiła drżącym głosem:

— Mój mąż wyjechał właśnie!...

Jeżeli zaś udało mi się dotrzeć do strony, to zaczynałem mowę swoją w ten sposób:

— Naturalnie wiesz pan dobrze, w jakiej sprawie przychodzimy.

Często, ba, bardzo często zdarzało mi się, że jegomość, do którego poszedłem, objął jednym rzutem oka mój płaszcz rycerski i natychmiast poczynał się tłumaczyć.

— Nie wiem, doprawdy, jakiej okoliczności mam do zawdzięczenia przybycie pańskie, bo mówiąc szczerze, byłem wczoraj trochę, nawet więcej niż trochę — wie pan tego... zaprószony panie, jak Boga kocham i żebyś mnie pan porąbał, to nic, ale to literalnie nic sobie nie przypominam z wczorajszego dnia...

Wogóle, muszę przyznać, że dużo, bardzo

dużo wrażeń zawdzięczam li tylko memu płaszczowi. Jedną historyjkę, która utkwiła mi specyalnie w pamięci, mógłbym opowiedzieć, tę — o białej panience!

Było to pewnego ranka poniedziałkowego. Do biura wszedł Bèla Matyas, starzejący się kawaler, który poza tem był najporządniejszym i najcichszym ze wszystkich swoich kolegów.

Usiadł przy mnie i powiada odrazu:

— Panie Csordas! wczoraj uderzyłem w twarz pewnego pana!

— Gdzie? — zapytałem zdziwiony i przestraszony zarazem.

— W kawiarni, w której zwykłem w każdą niedzielę gazety czytywać.

Staruszek — tak go każdy nazywał, mimo, że zaledwie przekroczył czterdziestkę — znał rzeczywiście jedyną tylko rozrywkę. Było nią przeczytanie wszystkich niedzielnych dzienników, bez względu na format, treść lub język.

— Jak się nazywa ten pan?

— Tu jest jego karta wizytowa... dał mi ją, zażądawszy następnie mojej.

— No, dobrze, ale z jakiegoż u licha powodu

mogłeś się pan dopuścić tak ciężkiej obrazy nieznajomego człowieka?

Matyas myślał czas jakiś.

— Hm... Rozmawiałem z jednym kolegą dosyć głośno, a ten pan psyknął. Chciał w ten sposób przywołać kelnera, ale ja byłem pewny, że on psyka na mnie, abym był cicho...

Coś nie do uwierzenia! Byłem przekonany, że ów ktoś musiał chyba rozpalonemi obcęgami szarpać poczciwego Matyasa, jeżeli potrafił go do takiego stopnia obruszyć! Nie mogłem tego pojąć!...

— Nie bierz mi pan tego za złe, kochany panie Matyas, że ośmielę się zadać panu pytanie nader niedyskretnej natury. Czy przypadkiem — proszę darować wyraz — nie był pan wczoraj podochocony?

Potrząsnął głową.

— W takim razie nie rozumiem tej afery zupełnie, bo nie mogę przecież przypuścić, że pan masz taką nerwową naturę.

Milczał chwilę, a wreszcie potarłszy czoło, wyrzekł powoli:

— Panie Csordas, nie chciałbym, abyś mnie

pan miał za narwańca i dlatego wolę panu opowiedzieć wszystko.

Nie omyliłem się przeto; spoliczkowanie obcego miało swój wstęp konieczny.

— Mów pan tylko, panie Matyas! Wiesz przecie, że można zaufać mojej dyskrecyi.

I pan Béla Matyas mówił:

— Od dwóch lat mieszkam przy ulicy Atylli. Kiedy sprowadziłem się na nowe mieszkanie, biała panienka już tam mieszkała, tak naprzeciwko moich okien... Kto ona jest? Hm... sam nie wiem tego, bo się nigdy nie starałem dowiedzieć; imienia jej nawet nie znam. Wiem tylko tyle, że mieszka wraz z matką i że są bardzo biedne, chociaż musiało być u nich dawniej lepiej...

Dlaczego nazywam ją białą panienką? Otóż — kiedy ją ujrzałem pierwszy raz na ulicy, miała na sobie białą sukienkę; myślę, że musi nie mieć innego letniego ubioru, bo i w tym roku w tej samej sukience wychodzi. Sukienkę swą białą bardzo szanuje — w domu nosi zwykle inną.

Czy jest piękna? Mój Boże! Ja się tam wiele nie rozumiem na piękności kobiecej, ale to mogę

powiedzieć, że jest dużego wzrostu i ma zgrabną figurę. Jest blada i poważna; nigdy nie widziałem jej śmiejącej się, trzpiotowatej. Sądzę, że musi być bardzo rozsądna; dowodzą tego jej ciemne, wymowne oczy i ich spojrzenie, w głąb duszy sięgające...

Wie pan co? tylko proszę, nie śmiej się pan!... Od dwóch lat mieszkamy naprzeciwko siebie, widzimy się dziesięć razy dziennie przez wązką i cichą uliczkę, ale mówię to panu na mój honor, nigdy nie próbowała mnie kokietować, jak to inne kobiety mają zwyczaj robić, najczęściej ot tak z roztrzepania...

Nie kłaniamy się nawet sobie; zdziwisz się pan zapewne, kiedy panu powiem, że mimo to znamy się bardzo dobrze. Mam zwyczaj bardzo wcześnie wstawać, ale kiedy ja o świcie idę ku oknu, to ona już dawno gotowa ze sprzątaniem. O tym czasie ma zwykle chustkę na włosach, a na rękach krótkie rękawiczki.

Często wykrzykuje po mieszkaniu:

— Zuziu! spiesz się!

Robi to tak, jak gdyby mówiła do pokojówki, ale one służącej nie mają. Zuzia, którą ona tak często do pośpiechu napędza, jest tylko istotą

urojoną. Biała panienka wymyśliła ją specyalnie dla mnie, a ja przebaczam jej ten drobny wybieg, zapomocą którego chce ukryć swoje ubóstwo.

Bo one są bardzo biedne... Przez okna widzę dobrze ich pokój... jakże smutne są te zimne ściany! Jedyną ich ozdobą jest wielki, w złocone ramy oprawiony obraz, przedstawiający mężczyznę we wspaniałym węgierskim kostyumie. Jest to pewnie ojciec panienki, po którym jej matka — słabowita, ale bardzo sympatyczna osoba — wciąż jeszcze nosi żałobę.

Chociaż weźmiesz mnie pan za dziwaka, to jednak muszę powiedzieć, że miłe sąsiedztwo białej panienki było od dwóch lat jedyną moją przyjemnością i rozrywką. Mimo oddalenia przez ulicę, żyliśmy w familijnej zażyłości i chociaż nie przemówiliśmy do siebie dotąd ani słowa, to jednak interesowaliśmy się wzajemnie każdą drobnostką.

Jeżeli naprzykład czytałem przy oknie, to ona tak długo wyciągała szyję, aż jej — niby to przypadkiem — nie pokazałem tytułu książki, który zawsze dostrzegła swojem bystrem okiem.

Ona odwzajemniała się, pokazując w oknie każdą nowość, przyniesioną do domu.

Wieczorem grywała na fortepianie, najczęściej mistrzów klasycznych, ale kiedy później zoryentowała się, że ja się na tem nie wiele rozumiem, poczęła grać Chopina. Przychodziło mi często na myśl, że dziewczę to zarabia na chleb lekcyami fortepianowemi — możliwe! wszak nieraz po kilka godzin bawiła w mieście, ale to jest tylko moje przypuszczenie, pewnego nic nie wiem.

Będzie to pan zapewne uważał za coś nienaturalnego, że panienki tej nigdy nie pozdrawiałem, ani też ona nie obdarzyła mnie nigdy jednym bodaj uśmiechem — nic, zgoła nic! oczy nawet nie spotykały się ze sobą, chyba przypadkowo... Gdybym się był uparł, byłbym może zawarł znajomość, ale ja nie chciałem i ona też nie chciała. Wszak było nam tak dobrze.

Na wiosnę stało się coś dziwnego i niespodziewanego; jakiś młody człowiek przyszedł do domu białej panienki. Był to mężczyzna o dość przyjemnej powierzchowności i niewielkich, do góry zakręconych, jasnych wąsikach. Już da-

wniej widywałem go nieraz, jak się kręcił tam i napowrót po naszej ulicy. Zaraz zauważyłem, że do jego wizyty przykładano szczególną wagę: mama wdziała na siebie najpiękniejszą suknię, jaką miała, a wyschłe jej ręce drżały ze wzruszenia.

Blondyn ów był od tego czasu codziennym gościem w mieszkaniu białej panienki; zabawiali się najczęściej przy oknie. On przynosił jej zawsze kwiaty, ona zaś grywała mu na fortepianie.

Pewnego popołudnia zauważyłem, że młody człowiek całował białą panienkę. Ona spostrzegła, że ja to widziałem i uciekła zarumieniona od okna. Dopiero potem, kiedy on odszedł, powróciła — i wtedy popatrzyła mi pierwszy raz w oczy... Spokojnie i wyraziście spozierała na mnie wzrokiem, wilgotnym od łez... Zrozumiałem — była narzeczoną!

Musiała odczytać z mego oblicza, jak bardzo cieszę się z jej szczęścia, bo podziękowała mi serdecznem spojrzeniem za moje nieme życzenia.

Bóg wie, co się tam działo później; sąsiadka moja zmieniła się zupełnie. Jej zachowanie się

było inne, jej oko błyszczało inaczej, nawet ruchy nie były te same.

Często była bardzo wesoła i wygrywała walce, co jej się nie zdarzało nigdy przedtem — a za chwilę było już cichutko w jej mieszkaniu. Biała panienka siadywała całemi godzinami przy oknie, oczekując z niecierpliwością jego przybycia.

Raz przyszedł — zabawił tam chwilkę tylko i odszedł prędko. Potem nie pokazał się więcej — znikł, jak gdyby się zapadł pod ziemię. Nie miałem pojęcia, co się z nim stało!

W pokoiku białej panienki panowała przez kilka miesięcy przerażająca cisza, jakby wszystko zamarło w jego wnętrzu.

Mieszkały tam jednak jeszcze; stara dama przesuwała się czasem po pokoju blada i zmęczona... mnie zdawało się, że nawet stary Madziar na obrazie miał inną minę. Dziewczę nie siadywało więcej w oknie, cień jej tylko widyłem niekiedy, odbity na przeciwległej ścianie.

Aż teraz zdarzyło się — było to wczoraj po południu — usłyszałem turkot powozu na naszej wązkiej uliczce. Wyjrzałem i w pięknej karecie zobaczyłem elegancką kobietę, a obok niej owego blondyna.

Na tupot kopyt końskich zbliżyła się biała panienka do okna. Ujrzawszy młodego człowieka, stała się bledsza, niż zwykle i odwróciła głowę — dość spokojnie. On nie uchylił przed nią kapelusza; powóz toczył się dalej, a ona za chwilę dopiero podniosła oczy i popatrzyła na mnie długo... bardzo długo.

Panie! wszystko wyczytałem z tego jednego spojrzenia: jej ból, jej wstyd, wszystko.

Potem poszedłem do kawiarni przejrzeć gazety. Nie wiem, co za szatan przyniósł tego blondyna do sąsiedniego stolika!? A może chciał tego Bóg sprawiedliwy!

Resztę pan już wie.

— Trudna sprawa — rzekłem, gdy Matyas skończył swe opowiadanie. — Ale możesz pan liczyć na moją przyjacielską usługę.

Matyas wręczył mi kartę owego blondyna; dowiedziałem się z niej, że był to młody, wybitny adwokat, mający właśnie żenić się z córką pewnego radcy miejskiego.

— Podwójnie trudna sprawa! Taki kawaler jako narzeczony, musi o wiele więcej dbać o swój honor; wątpię, abyśmy mogli załatwić tę sprawę na drodze pokojowej.

Poczciwy Matyas zbladł.

— Nie pojedynkowałem się nigdy, ale jeżeli on tego będzie chciał koniecznie, to stanę.

— Co się da, to uczynię, kochany panie!

Sekundantami blondyna byli oficerowie, na których mój płaszcz rycerski nie zrobił, zdaje się, wielkiego wrażenia, bo traktowali nas z góry, tak sobie przez ramię! Wobec tego zgodziliśmy się na ich warunki bez jednego słowa.

Matyas zwierzył mi się przed pojedynkiem, że jeszcze nigdy w swojem życiu nie wystrzelił z pistoletu.

I skończył biedak smutny żywot, nie wystrzeliwszy — pierwszy strzał z ręki przeciwnika ugodził go w serce...

Bez jęku runął na ziemię — i sprawa jego zakończyła się załatwiona w porządku według kodeksu spraw honorowych...

CZERWONY POKÓJ.

Każdy uważał ją za piękną. Kto ją ujrzał po raz pierwszy, robił wrażenie człowieka, który uczynił jakieś genjalne odkrycie. Jej postać przypominała owe amerykańskie piękności, tak dziwnie do siebie podobne, zwłaszcza na portretach, umieszczanych w zamorskich pismach ilustrowanych. Wszystkie one mają rysy starożytnej Artemis i to właśnie zwraca powszechną uwagę i wywołuje pewną podejrzliwość. Pozatem posiadają one wszelkie cechy nowoczesnego, szlachetnie zblazowanego typu.

Pani, o której mowa, wiedziała bardzo dobrze o anglo-saskim charakterze swej piękności; starała się go też udoskonalać i podkreślać. Zwłaszcza jasny kolor włosów, wiotkość kibici i dumę. O swojej krasie umiała mówić w tak naiwnym i pieszczotliwym tonie, w jakim mówi się zwykle o nadzwyczajnem dziele sztuki lub ulubionym wierzchowcu.

Piękność jej nie była jednakże bez błędu. Niezaślepiony obserwator musiał zauważyć, że jej broda była podobna do ptasiej. A przecież do jej twarzy i całej postawy potrzebna byłaby

broda więcej stanowcza i zdecydowana. Ta omyłka natury nadawała jej profilowi małostkowy i trochę przykry wyraz, nie harmonizujący bynajmniej ani z jej temperamentem, ani z szumiącą elegancyą jej toalet. O tem wszystkiem wiedziała sama jaknajlepiej.

Także jej życie nie obyło się bez rażącego błędu. Dobrze od niej starszy mąż nie miał zaufania do swej żony i najchętniej trzymałby ją stale w domowym areszcie. Należał on do gatunku mężczyzn naiwnych i brutalnych i swojego czasu wierzył w to, iż żony należy wychowywać. Żona powinna zatem być madonną i bajaderą, ideałem i służebnicą, jednem słowem wszystkiem, czem jej kiedykolwiek mąż być każe. Pomiędzy jego środkami pegagogicznymi były pocałunki, brylanty i grubiaństwa, zastosowane zawsze niesłusznie i zawsze nie w porę.

Z czasem przyzwyczaiła się do podwójnego życia. Jedno odgrywała jak charakterystyczną rolę wobec publiczności i męża. Była uczciwą, dumną i pewną siebie. Drugie jej życie, wewnętrzne, wytworzone wśród nudów haremowych, pełne było nieczystych, czołgających się marzeń i niezdrowych instynktów. Mąż jej wiedział

o tem, ale nawet przy większych nieporozumieniach nie tracił wiary w jej czystość.

Obchodziła właśnie po raz trzydziesty swoje urodziny, kiedy postanowiła oszukać męża. Z kim, nie wiedziała jeszcze, ale była pewna, że to stać się musi. Zdawało jej się, iż gdyby tego nie uczyniła teraz, to utraciłaby bezpośrednio coś, co może było samem życiem...

Wkrótce upatrzyła sobie mężczyznę, jakiego potrzebowała. Takiego, który nie wynalazłby może prochu, ale zato umie ubierać się elegancko, mówić rozsądnie i przyjemnie milczeć, a w całości robi wrażenie mieszaniny męskości, dobroduszności i zepsucia. Nazwijmy tego pana Andorem.

Gdy Andor zobaczył ją po raz pierwszy, był pewny — tak samo, jak inni, mający zwyczaj przeglądania amerykańskich ilustracyj — iż wreszcie znalazł coś, czego dotychczas szukał nadaremnie. Po parotygodniowej wstępnej znajomości, w czasie której spotykali się w teatrze i na koncertach, miał pan Andor tę satysfakcyę, iż mógł się uważać za bajecznie szczęśliwego zdobywcę. Znalazł się wreszcie w mieszkaniu pięknej mężatki. Nie była to wizyta, lecz umówiona

schadzka. Wszedł do jej domu przy zachowaniu pewnych środków ostrożności, wtedy, gdy mąż bawił na prowincyi za interesami. Służby nie potrzebował się obawiać, była to służba iście haremowa.

Sprawa poszła tak prędko i tak gładko, iż pan Andor wstydził się prawie. Znał kobiety i dlatego wiedział, że ma do czynienia z niedoświadczoną. Wiadomo bowiem, iż zepsute kobiety trudniejsze są do zdobycia.

Przyjęła go pokojówka, która oznajmiła mu, że pani się przebiera i prosi, aby poczekał w czerwonym pokoju. Tam jest cieplutko; ogień pali się na kominku.

Pan Andor wszedł do czerwonego pokoju. Jest to pracownia, a zarazem fajczarnia pana domu. Czerwone obicia, czerwone dywany i czerwone meble skórzane, wszystko o krzyczącej jaskrawej barwie wiśni. Izba obszerna i jasna, jednakże niesympatyczna. Pan Andor przechadza się nerwowo i czuje coraz wyraźniej, że mu tu ogromnie nieswojsko. Robi wrażenie zwierzyny w wilczym dole.

Na pierwszy rzut oka można spostrzedz, iż urządzenie tego pokoju gromadził właściciel

w różnych odstępach czasu. Możnaby użyć mebli, jako kluczy do określania pewnych epok życia. Najdawniejszy pokład reprezentuje stara szafa z szufladami, zegar grający, całkiem pospolite biurko i portret starszej kobiety o długiej szyi i wystraszonych rysach. To wszystko mógł wynieść jako dziedzictwo z małego mieszczańskiego domku i zachowywał dotychczas z pietyzmu. Potem następowały meble skórzane. Pochodziły one z dobytku dorabiającego się kawalera. Miedziany kominek, firanki i lampy elektryczne zdradzały smak całkiem nowoczesny i znalezienie się tu swoje zawdzięczać muszą zapewne wpływowi młodej żony.

Pan Andor nie zna pana domu.. Ani nawet z widzenia. Wie o nim tylko tyle, że zaczął jako biedak, a bydlęcą pracowitością dotarł do najwyższego punktu dobrobytu. Mógł był mieć lat pięćdziesiąt, gdy prowadził do ołtarza swą dwudziestoletnią podówczas żonę; chciał sobie nią wynagrodzić całą swoją pracowitą przeszłość.

Gość rozglądał się, czy nie zobaczy gdzie jego fotografii. Napróżno. Nie było tu ani jednej fotografii mężczyzny. Ściany, biurko i gzyms

kominka przeładowane były podobiznami pani. Widoczne było, iż musiała sporo czasu przepędzać przed objektywem fotografa, gdyż w dobieraniu pozy doszła do pełnej rutyny. Na każdem zdjęciu wyglądała inaczej. To w głęboko wyciętej toalecie balowej, to znów w sportowym lub jakimś fantastycznym kostyumie, raz uśmiechając się słodko, raz znowu mrużąc oczy marząco. Mnogość tych obrazków świadczyła, że mąż formalnie ubóstwiał piękność swojej żony. Ten specyalny kult był odbiciem pożądliwej i smutnej zmysłowości starzejącego się mężczyzny, tej samej, która przemawiała z czerwonej barwy ścian, dywanów i sprzętów.

W bronzowej popielniczce leży zwęglone do połowy cygaro Virginia. Teraz pan Andor jest już pewny, że potrafi sobie skonstruować w myśli wygląd męża. Prawdopodobnie jest to szerokokościsty człowiek o dużych wąsach i siwych włosach.

Niespodzianie opadło gościa zniechęcenie. Nie mógł już dłużej przyglądać się tym smutnym meblom czerwonym. Podszedł ku oknu. Zaczynało się już zmierzchać. Po ogołoconych z liści gałęziach i zaniedbanych ścieżkach małego ogro-

du przewalała się zwolna mgła żółtawa. W ciemnym pokoju unosił się znów jakiś przenikający, ciężki zapach. Pochodził on z pomieszania wyziewów tytoniowych, skóry juchtowej i nieznanych mu, ogromnie niemiłych perfum. Był to odór dziwnie trzeźwiący, taki staromieszczański i taki specyalny, że Andor nie mógł już dłużej wytrzymać.

Przyszło mu na myśl, że ślad tej woni musi znaleźć na włosach i odzieniu pięknej pani. Ta myśl ostudziła go i oburzyła zarazem.

Wszedł do przedpokoju i bez ceremonii zaczął się zabierać do odejścia. Zaszła mu drogę pokojówka:

— Jaśnie pani prosi! — szepnęła.

Otworzyła drzwi, poza któremi w pośrodku złoconych mebli roccoco, fałszywych gobelinów, japońskich parasoli i błyszczących ozdób ściennych, kąpiących się w świetle gruszek elektrycznych, oczekiwała go żona starego męża, przyozdobiwszy twarz w zambarasowany uśmieszek.

A pan Andor nie byłby mężczyzną, gdyby z takim samym uśmiechem i głębokim ukłonem nie podszedł był do kobiety, której jednak już był syty i która nie podobała mu się wcale.

KRZYWY PIETREK.

Pietrek zwał się syn dziedzicowego ogrodnika. Był kulawy i dlatego dzieci dworskich fornali nie chciały go przypuszczać do swych zabaw. Stał się więc zamkniętym w sobie małym dziwakiem. Zawsze cichy i milczący przesuwał się samotnie po alejach parku i na każdej drobnym żwirem wysypanej drodze znać było ślad jego krzywej nogi. Nikt go nigdy nie widział, a jednak gdy go zawołano, wynurzał się w tej chwili, zjawiając się zawsze w tem miejscu, gdzie go się najmniej spodziewano. Podobnie jak mały jamnik. W dnie jasne i pogodne plątał się najchętniej pomiędzy kwiatami słonecznymi, które lubił nadewszystko i przypatrywał się im całemi godzinami z niemym podziwem. Skoro jednak poczuł wiew wiatru, biegł czemprędzej pod ogromne kasztany, wygrywające jakąś poważną melodyę, niby kościelne organy.

Pietrek, który marzył na swój sposób, miał także tajemną boginię. Była nią Lenczi, córka dziedzica. Dziewczynka przyjeżdżała do wsi z rodzicami każdej jesieni i nie troszczyła się wcale o kulawego chłopca. Lenczi była zresztą

bardzo elegancką, miejską panną; nosiła dumnie pięknie ulokowaną główkę i przechadzała się powabnie w prześlicznej śnieżno białej sukience, zasypując przyjaciół domu mnóstwem zdumiewających pytań, a często i dokuczliwych uwag.

A Pietrek żywił bajecznie śmiałe pragnienia! Chciał być braciszkiem Lenczi i bodaj raz prowadzić ją za rączkę, tak jak to robią dobrze wychowane pańskie dzieci... Nie miał wprawdzie pojęcia, w jaki sposób mogłoby dojść do tego, ale czuł, iż byłby niewypowiedzianie szczęśliwy, gdyby jego pragnienie ziściło się kiedy.

W górnej połaci ogrodu, tuż za rzepakowem polem, wznosił się podługowaty pagórek, zamykający widnokrąg. Na wzgórzu rosły klony równym szeregiem. Była to granica dziedzicowej posiadłości. Pietrek nie odważył się nigdy wybrać w tamtą stronę, gdyż ojciec nastraszył, że pod klonami wałęsa się wściekły pies, który może go napaść i pokąsać. A przecież chłopak chciałby wiedzieć, co się tam dzieje poza tym dziwnym pagórkiem. Był przekonany, że to jest już koniec świata i że stamtąd może spoglądać w jakąś pustą nicość.

Pewnego dnia na wiosnę, gdy nikogo nie

było na polach, zdobył się Pietrek na odwagę i zaczął nagle iść w kierunku wzgórza z uporem, właściwym zamkniętym w sobie osobnikom. Była to droga ciężka i daleka. Najpierw musiał przedzierać się przez rolę, świeżo przeoraną parowym pługiem. Zwolna drapał się w górę, podobny do chrabąszcza, pnącego się po ścianie.

Wreszcie dotarł do klonów. Naraz aż wykrzyknął z podziwu i jakiegoś ogromnie miłego uczucia. To, co tu ujrzał, było snem chyba! Pod nim, tam w dole rozpościerała się olbrzymia łąka, pełna bajorek i moczarów, ciągnących się aż do brzegu horyzontu.

Słońce staczało się coraz niżej ku zachodowi i z daleka lśniło się nito wielka kula miedziana. A od niej szło tysiące skośnych promieni, odbijając się błyskotliwie w niezliczonych kałużach wodnych. Rzadkie kępki drzew wyglądały jakby fantastyczne wysepki w tem niezmierzonem morzu światła i niewypowiedzianego piękna.

Małe chmurki udrapowały się cudownie wokół purpurowego firmamentu, tworząc wspaniałą

i potężną bramę niebieską, przez którą płynęła szeroka struga olśniewającego światła.

Jak daleko wzrok sięgał, nie było widać żywej duszy. Głęboka, święta cisza panowała dokoła, a każdy liść klonu, każde źdźbło trawy na łące nurzało się w czerwieni, jak w krwistej fali... A w pośrodku tej wspaniałości, w uroczystej, tajemniczej ciszy tętniło sieroce człowiecze serce, wystraszone, a jednak szczęśliwe — Pietrkowe serce... Chciał teraz myśleć o czemś pięknem, świętem i uszczęśliwiającem! I zaraz potem przemknęło mu przez głowę, że gdyby tu Lenczi nadeszła w tej chwili, to pewnie wzięłaby go za rękę, nazwała braciszkiem i on nie byłby już więcej kulawym synem ogrodnika.

Nagle usłyszał głośne ujadanie psa. Przypomniał sobie przestrogę ojca i przestraszony począł, jak mógł najprędzej, uciekać ku ogrodowi, tonącemu już w cieniu wieczoru.

Przez całe lato nie był ani razu pod klonami, ale myśli jego błądziły tam bezustannie. We wspomnieniach obraz tego cudownego wieczoru pogłębiał się i uzupełniał. Teraz wiedział już, że w pośrodku owej bramy obłocznej widział także duże miasto i pałace z wieżami i olbrzy-

miemi kopułami, widział też smukłe palmy, kąpiące się w złocistych promieniach i dziwne ptaki o długich szyjach, igrające z straszliwymi nosorożcami. Prawdopodobnie cuda te przedostały się do jego mózgu z jakiejś książki z obrazkami.

Jesienią przyjechali państwo znowu. Lenczi także. Pietrka wygoniono naturalnie z ogrodu, po którego alejach biegała białoubrana dziewczynka, niby Psyche, uganiająca za motylem. O zmierzchu spostrzegła naraz w leszczynie jakiegoś małego oberwańca.

— Czego tu szukasz? — zapytała go wyniośle.

Poznała jednak zaraz syna ogrodnika.

— A to ty jesteś, krzywy Pietrek.

Malec zebrał naraz całą swoją odwagę.

— Chodź ze mną! Pokażę ci coś!

— Co takiego?

— Coś, czego jeszcze nie widziałaś w swojem życiu. Ani nikt nie widział. Pokażę ci kraj cudów...

— Gdzież on jest? — zapytała ciekawie Lenczi.

— Tam daleko! Za klonami. Nie mów jednak o tem nikomu, gdyż komu innemu nie chcę go pokazywać.

— Jakże wygląda ten kraj cudów?

— Ziemia — samo lśniące złoto, a niebo — jeden wielki płonący ogień.

— A są tam domy?

— Jeszcze jakie! Ponad chmurami całe miasto...

— Nad chmurami? A ludzie?

— Są i ludzie. Wszyscy noszą złote korony na głowach...

Lenczi roześmiała się głośno.

— Oszalałeś? Czemu mnie okłamujesz?

— Pójdź tylko ze mną, a zobaczysz, jak tam pięknie. O wiele piękniej, niż myślisz. Ale więcej nikomu tego nie pokażę!

Powiedział to tonem tak bardzo przekonywającym, że mała dziewczynka rozciekawiła się na dobre. Nie wierzyła może we wszystko, ale poszła. Białe jej buciki zabrukały się całkiem wśród miękkiej ziemi, a koronkowa sukienka pełna była paździerzy i bodaków, przez które trzeba się było przedzierać u stoku góry. Przytem bała się czegoś trochę, czuła zmęczenie

i zaczynała oglądać się za domem, ale fanatyczna wiara krzywego Pietrka ciągnęła ją z dziwną siłą do drzew klonowych.

Jeszcze tylko dwadzieścia lub trzydzieści kroków i zaraz niebo zapłonie, ziemia się rozogni, a oni uścisną sobie ręce i będą stali blizko obok siebie, jak brat i siostrzyczka, w blaskach wspaniałego zachodu...

Stało się inaczej. Pietrek oniemiał i wytrzeźwiał zarazem. Niebo było szare, ziemia mglista. Cały horyzont pokryły chmury i tylko niewielka jasna plama oznaczała miejsce, gdzie się słońce kryło. W dole, ponad stęchłem bagniskiem, przelatywała gromaga kraczących gawronów. W górze, wśród ogołoconych z liści klonów, wył z cicha wiatr wieczorny. Wszystko było ogromnie trzeźwe, przykre i smutne.

— Gdzież jest twój kraj cudów? — zapytała dziewczynka.

Pietrek spuścił głowę posępnie.

— Nie wiem...

— A gdzież jest miasto i ludzie ze złotemi koronami na głowach?

— Nigdzie... nic...

— Okłamałeś mnie! Wstydź się! Jak mogłeś tak kłamać?

Rozgniewana biegła Lenczi do domu jaknajspieszniej.

A Piotruś pociągnął za nią powoli; łzy ciekły mu po bladem liczku, a w sercu było mu okropnie smutno...

Z gęstej kurzawy wyłonił się duży samochód — w którym obok szofera siedział wysmukły blondynek.

— Muki! dobry, kochany Muki! — prosił — pozwól mi na chwilkę kierować! Chciałbym sam zajechać pod pałac!

— Nie można, nie można! Pan hrabia wyraźnie zabronił mi dawać jaśnie paniczowi balans do ręki.

— Ależ tylko na pięć minut! Zresztą dostaniesz za to dwa guldeny.

Serce Mukiego nie było z kamienia, nic przeto dziwnego, że nie mógł się oprzeć tej prośbie. Z początku szło wszystko dobrze, ale zaraz na pierwszym zakręcie zawadził automobil o grządkę wzorzyście sadzonych kwiatów. Szofer uważał za stosowne odebrać chłopcu ster i samemu zajechać przed portyk zamkowy. Tam oczekiwali wszyscy na schodach, nie było więc czasu na wstydzenie się niedołęstwa. Młody hrabicz przybrał tedy najpoważniejszą, na jaką mógł się zdobyć, minę i wyskoczywszy elastycznie z samochodu, rzekł suchym tonem:

liczkach, jasnych, marzących zawsze oczach i maleńkim, kłującym się dopiero, jasnym wąsiku. Z ubrania wyglądał na syna jakichś uboższych mieszczan, pewnie poczciwych rzemieślników, którzy chcieli ze swego syna zrobić »uczonego«. Obok niego leżało w trawie kilka łacińskich książek, nie otwartych nawet.

— Balta!

Ocucił się nagle.

— Mari! To ty?

— Tak! To ja! — odpowiedziała, akcentując tragicznie każdą sylabę. — Mimo tysięcznych przeszkód i niebezpieczeństw, przybiegłam tu, aby cię o czemś ważnem powiadomić.

— Cóż się stało? — zapytał przestraszony.

Mari usiadła obok niego na trawie.

— Słuchaj, Baltazar! miałam dziś poważną rozprawę z mamą...

— Jakto? Ale przecież nie przyznałaś się?... Co?

— Całkiem nie, ale tak pół żartem, pół seryo zapytałam mamy, coby też zrobiła, gdyby jedna z jej córek wyszła za mąż za człowieka z nie naszej sfery.

— I cóż powiedziała na to? Pewnie, że cię zabije?

— Zabije?

Mari uśmiechnęła się z żałośnym grymasem.

— Któż lęka się śmierci? Wszak tam w mogile cicho i spokojnie, tam kończy się wszelki ból serdeczny... Ale ona zagroziła mi przekleństwem matki... O Balt! Czy ty to pojmujesz, czy rozumięsz, co znaczy klątwa macierzyńska? Och! Toż to jest rzecz najstraszniejsza ze wszystkich okropności świata!...

Młodzieniec opuścił głowę, a oczy zaszły mu łzami.

— I wiesz, co jeszcze mi powiedziała? — ciągnęła dalej Mari w elegijnym tonie. — Że jedynie hrabiego mogę poślubić i to takiego, który ma przynajmniej dwa miliony...

Chłopiec potrząsnął dumnie kędzierzawą czupryną.

— He! Tytuł i bogactwo!... Pluję na to! Benjamin Franklin był synem zwykłego mydlarza, a potęgą i znaczeniem przeszedł wszystkich książąt i hrabiów. Ale ja pojmuję tragiczny stan twojej duszy, Mari! Musisz wybierać pomiędzy matką, a tym, którego serce pokochało... Nie

myśl, że będę od ciebie wymagał jakiejś nadludzkiej ofiary, lecz chcę cię prosić o przyrzeczenie, iż dziesięć lat będziesz czekała na mnie. Tyle czasu wystarczy mi, aby stać się wielkim i sławnym!

— Dziesięć lat — — dobrze! Ale pamiętaj, że ze wszystkich stron otaczają mnie szpiegowie, a cień mojej długiej Angielki prześladuje mnie na każdym kroku! Gdyby ma rodzina dowiedziała się, że się schodzimy — o Balt! coś strasznego! drżę na samą myśl o tem.

— Nie chcę, abyś przezemnie miała się lękać i żyć w niepokoju i nie chcę na ciebie sprowadzać nieszczęścia; od dzisiejszego dnia zaniechamy naszych schadzek, a miłość nasza i wierność pogrąży się w cieniu głębokiej tajemnicy...

— Tak! Balt! to będzie wspaniałe... Tajemnica. Ale teraz muszę się spieszyć, zanim miss otworzy oczy! Niech cię Bóg ma w swojej opiece, Baltazarze! Wierz — miej nadzieję i kochaj! a na pożegnanie przyjmij ten mój gorący pocałunek...

Gdy rozrzewniony chłopiec odwrócił głowę, aby ukryć gorzkie łzy, zwieszające się mu na

rzęsach, Mari zwinna jak wiewiórka, znikła w gęstwinie krzewów i za chwilę przesadziła mur parkowy. Tu odetchnęła, a na jej usteczkach pojawił się uśmiech niby Lukrecyi Borgia...

— Dobrze się załatwiłam — i szybko!... — szepnęła, oddechając, jak gdyby jej olbrzymi ciężar spadł z piersi.

Baltazar otarł łzy pospiesznie, wszak płacz to nie męska rzecz, a on chce być przecież mężczyzną, a nawet bohaterem! Bo cóż jest na świecie niedosięgnione dla odważnych? A on jest i odważny i silny, w każdym razie silniejszy, niż pierwszy lepszy zdegenerowany arystokrata! Któryż hrabczuk potrafiłby naprzykład stanąć na głowie lub chodzić na rękach? On zaś przejdzie na rękach aż do ostatniego buku... Daleko, potężnie daleko, siły już chcą opuścić, ale Baltazar myśli o swym wzniosłym celu — nie wolno mu przeto osłabnąć... już — już — jest buk! Wyczerpany z sił doszczętnie, pada wreszcie u stóp rozłożystego drzewa, ale tryumfuje! a tymczasem tam gdzieś odezwała się kukułka i kuka... Istenem! Ileż razy?! dwa... sześć... dziesięć!...

ZMARTWYCHWSTANIE PANA BERTALANA.

Trzeciego lipca wczesnym rankiem zderzył się amerykański parowiec pocztowy »Vancouver« z rotterdamskim żaglowcem, wiozącym drzewo. Amerykanin przeciął małego Holendra na dwie równe części, ale i sam źle wyszedł na tem spotkaniu. Na razie nie można było sprawdzić, co się stało, dość, że za pięć minut leżał już na boku, za dalsze zaś dwadzieścia poszedł na dno, jak siekiera. Stało się to w oddaleniu dziesięciu mil od latarni morskiej przy Cap Licard.

W chwili zderzenia w jednej z kajut pierwszej klasy spał snem sprawiedliwego pewien Węgier, nazwiskiem Bertalan. Nie obudził się już, aż na tamtym świecie. Biedaczysko powracał z pierwszej swojej podróży po morzu. Pochodził z Szentmiklós, a jechał z Cincinati, gdzie bawił jakiś czas w sprawach spadkowych.

*

* *

W domu, w Szentmiklós, pierwszy dowiedział się o śmierci Bertalana jego przyjaciel,

niejaki Forgó. Był to człowiek nadzwyczaj zacny i uczciwy, a z nieboszczykiem łączyły go węzły prawdziwej i bezinteresownej przyjaźni. Wieść o katastrofie tak go przeraziła, że zaledwie mógł się utrzymać na nogach. Ciążył na nim niemiły obowiązek powiadomienia młodej wdowy o nieszczęściu. Chciał ją przygotować jak najostrożniej, ale pani Bertalanowa wyczytała wszystko z jego twarzy i padła zemdlona. Musiano położyć ją do łóżka i sprowadzić lekarza.

Biedna kobieta była drugą żoną Bertalana; wyszła za niego przed półtora rokiem, a małżeństwo ich było związkiem namiętnej, rzadko napotykanej miłości dwojga ludzi, którzy poza sobą nie widzą świata.

Na drugi dzień pani Bertalanowa popełniła zamach samobójczy. Uratowano ją w sam czas, ale od powziętego zamiaru nie dała się odwieść w żaden sposób.

— Po co ja mam żyć dalej? po co? — powtarzała bezustannie.

Tego samego dnia przyjechał z Budapesztu syn Bertalana z pierwszego małżeństwa. Miał lat siedmnaście i przygotowywał się w stolicy

do zawodu kupieckiego. Kiedy przystąpił do łoża chorej macochy, nowy strumień łez popłynął z jej oczu. Chłopak wtórzył jej serdecznie, gdyż ojca kochał naprawdę. Wogóle Bertalanowie znani byli z tego, że wiedli idealne życie rodzinne i byli do siebie ogromnie przywiązani.

W domu Bertalana były jeszcze dwie istoty, którym niespodziewana śmierć głowy domu sprawiła boleść niezwykłą. Miszko, stary sługa Bertalana i Hektor, pies podwórzowy. Miszko służył już piętnaście lat i znalazł w swym panu nietylko chlebodawcę, ale prawdziwego dobrodzieja i opiekuna. W tych ciężkich dniach pokazało się, że pan Bertalan nie darzył swymi względami ludzi, niegodnych tego. Miszko opłakiwał pana, jak ojca rodzonego.

Z psem działo się coś nadzwyczajnego. Do trzeciego lipca nie troszczył się wcale o swego pana, ale od czasu katastrofy »Vancauver'a« opanował go jakiś dziwny niepokój. Nie jadł nic, tylko biegał od rana do nocy po całym domu i szukał pana, skomląc żałośnie.

*

* *

Pan Bertalan spał twardo, gdy okręt szedł na dno. Na chwilę obudził się, a wtedy opanowała go wielka trwoga. Znalazł się naraz wśród chmur i obłoków i czuł mimo zawrotu głowy, że zbliża się ku bramie wieczności.

Przyjął go tam stary, łysy jegomość ze znajomymi rysami twarzy. Bertalan zrozumiał, że musi poprosić go o wpuszczenie do środka.

— Jak się nazywasz? — zapytał stary jegomość.

Bertalan wymienił swoje nazwisko. Stary zaglądnął do księgi. Z początku wertował ją obojętnie, ale za chwilę zaczął tracić cierpliwość. Widocznie nie znalazł, czego szukał. Mruczał przeto coraz głośniej, a wystraszone dzieci w białych sukienkach znosiły mu coraz to nowe księgi. Przeglądnął i te, a wreszcie grzmotnął dłonią w otwartą książkę i krzyknął groźnie:

— Czego ty tu chcesz właściwie? Skąd się tu wziąłeś? Przecież ty nie umarłeś!

— Przebaczenia... — wyjąkał Bertalan. — Nie przyszedłem tu dobrowolnie... Sam nie wiem jak się tu dostałem...

Stary jegomość zniecierpliwił się na dobre.

— Zawołać mi tu Zammaela! powiedział rozkazująco.

Za chwilę zjawił się w bramie smętny młodzieniec, odziany w czarne szaty. Na ramieniu niósł kosę.

— Cóż ty znów za głupstwa porobiłeś — grzmiał stary. — Jak mogłeś przysłać mi na kark tego człowieka? Czy nie widzisz, ot tu! że ma on żyć jeszcze lat trzydzieści?

Zammael spuścił oczy zażenowany.

— Nie rozumiem doprawdy, jak mogłem się tak pomylić!... wybąknął.

Teraz Bertalan wmieszał się do rozmowy.

— Przepraszam najmocniej, ale ponieważ wcześniej, czy później, muszę się tu zjawić, wolałbym zostać tu już teraz...

Stary zmierzył lekceważąco.

— Toby ci się podobało?! co? No, ale to tak łatwo nie idzie. Masz jeszcze trzydzieści lat służby i musisz ją pełnić tam na dole.

Zbliżył się ku natrętowi i położył mu ciepłą rękę na oczy. Bertalan stracił przytomność.

*

* *

Gdy ocucił się z omdlenia, usłyszał plusk fal

i spostrzegł, że znajduje się po brodę w wodzie i jest przywiązany powrozem do płynącej belki. Nad nim sklepiało się niebo, gęsto gwiazdami usiane. Począł wołać o pomoc, ale nikt go nie słyszał.

Dniało już. Niezadługo weszło słońce i oświeciło bezkreśne wody morza. Wygłodzony i spragniony, płynął Bertalan, dokąd go niosła fala.

Trwało to dwa dni i dwie noce. Wreszcie przestał wołać o pomoc i przestał wogóle myśleć o niej.

Trzeciego dnia zamajaczył mu się przed oczami jakiś cień olbrzymi. Usłyszał głosy ludzkie i poczuł, że silne ramiona wyciągają go z wody, rozbierają i nacierają. Ktoś wlał mu do ust gorący, mocny napój. Bertalan dowiedział się, że jest na pokładzie dużej barki rybackiej z Normandyi.

Kapitan mówił, że znajdują się obecnie na wodach islandzkich, a statek musi się spieszyć, gdyż niezadługo rozpoczyna się wielki połów śledzi. Opóźnienie oznaczałoby stratę ośmiu do dziesięciu tysięcy franków.

Bertalan musiał przeto przepędzić półtora miesiąca pomiędzy rybakami. Dwudziestego

pierwszego sierpnia napotkali wreszcie mały parowiec amerykański »Hudson«, który powracał z długiej wycieczki naukowej w okolice podbiegunowe. Kapitan przyjął rozbitka i wziął go ze sobą do Nowego Yorku. Przybyli tam z początkiem września.

Pierwszą myślą Bertalana była naturalnie chęć zatelegrafowania do domu z doniesieniem o swem szczęśliwem ocaleniu, ale wnet wyperswadował to sobie. Rodzina uważa go dawno za umarłego. Jeżeli teraz dowiedzą się nagle, że żyje, gotowo się stać jakie nieszczęście. I radość potrafi zabić. Dał zatem pokój wszystkiemu; postarał się o pieniądze i pojechał na Hamburg. Dwudziestego czwartego września o godzinie siódmej wieczorem znalazł się na dworcu w Szentmiklós.

*

* *

Nie poszedł odrazu do domu, lecz odszukał naprzód swego przyjaciela. Pan Forgó, który jako stary kawaler mieszkał samotnie, ubierał się właśnie, gdy na progu jego mieszkania stanął rzekomy nieboszczyk. Panu Forgó wypadł surdut z ręki, a on sam musiał się oprzeć

o ścianę. Wzruszenie i przestrach odjęło mu mowę. Wreszcie wystękał:

— Bertalan?! Ty?!...

Bertalan pochwycił przyjaciela w objęcia.

— Tak, to ja. Przyszedłem nasamprzód do ciebie, gdyż żona moja nie wie jeszcze, że ja żyję. Idź do niej i przygotuj ją ostrożnie, aby nie doznała nagłego wzruszenia...

Kiedy się już wypłakali do woli i wyczerpali olbrzymi zapas pytań, pozostawionych bez odpowiedzi, wybrali się w drogę do domu Bertalana.

Dobry przyjaciel wszedł pierwszy, podczas gdy rozbitek czekał w sieni.

— Radosna nowina, droga przyjaciółko! — wołał Forgó już od proga.

— Bertalan?!... krzyknęła kobieta.

— Przyszła wiadomość o nim...

— Żyje?! Przybył? On tu jest!...

Rzuciła się ku drzwiom i padła w objęcia męża. Płakali i śmiali się naprzemian. Nadszedł syn. Wpadł Miszko, wbiegł pies, jak szalony. Wszyscy mieli coś do opowiadania i pytania; jedno nie dało przyjść drugiemu do słowa. Potem usiedli do kolacyi, ale nikt nawet nie spró-

bował jedzenia. O północy pokładli się wreszcie spać, ale któżby mógł w takim wypadku zmrużyć oko?...

* * *

Nad ranem wreszcie pan Bertalan usnął, a spał tak słodko i twardo, jak chyba w dniach swego dzieciństwa.

Inni wszakże przewracali się z boku na bok. Ani żona, ani syn, ani dobry przyjaciel, ani służący, ani pies nawet nie mogli zasnąć.

Żona była niewypowiedzianie szczęśliwa, a jednak czuła, że jest coś w niej, że ją coś niepokoi. W czasie nieobecności męża przemieniła jego pracownię w elegancki salonik... Sprawiła gustowne mebelki rokokowe i nakupiła różnych ozdóbek, a teraz martwiła się tem niewypowiedzianie, gdyż mąż — zresztą z kościami człowiek zacny — nie znał żartu w kwestyach pieniężnych... Naturalnie niema już mowy o tem, aby wybrać się na Boże Narodzenie w Tatry, jak jej poradził poczciwy pan Forgó. Tam znalazłaby była ukojenie w swej boleści... Z wyjazdu do Budapesztu również nic nie będzie... Pani Bertalanowa miała bowiem zamiar

przepędzić drugą połowę żałobnego roku w stolicy. Żyłaby tam w zupełnem odosobnieniu i chodziłaby jedynie do teatru lub na koncerty... Jej stosunki majątkowe pozwalały jej w zupełności na ten drobny luksus, ale wobec Bertalana nie odważyłaby się nawet wspomnieć o tem... Zacznie się teraz na nowo to okrutne sknerstwo!... O Boże! a ona tak pięknie, tak przyjemnie, tak wzniośle myślała o swym stanie wdowim...

Gorąca łza zaperliła się w jej oku. Tą łzą opłakiwała minione wdowieństwo. Aż się przelękła swych myśli:

— Co to jest? Przecież ty jesteś szczęśliwa, i musisz być szczęśliwa, skoro twój mąż powrócił.

Syn leżał w łóżku z otwartemi oczyma. Czuł się szczęśliwy, gdyż kochał ojca zawsze, nawet wtedy, gdy zmusił go do poświęcenia się zawodowi kupieckiemu. Syn chciał być malarzem, ojciec zaś utrzymywał, że szkoda czasu, bo nie widać talentu. Pod łagodnymi rządami macochy, odżyły w duszy chłopca ideały artystyczne. Pozostał w domu i na poddaszu urządził sobie »atelier«, ozdobione japońskim kimo-

no i wypchanym pawiem. Namalował nawet obraz, który zdaniem jednych przedstawiał lodowcowy krajobraz alpejski, podczas gdy drudzy twierdzili, że jest to burza na Adryatyku. Pan Forgó utrzymywał, że młodzieniec ma poczucie kolorytu... ale jutro lub pojutrze ojciec odeśle go z pewnością z powrotem do banku. I syn płakał gorzko...

Przyjaciel nie zamknął oka ani na chwilę.

W ostatnich miesiącach przepędzał wszystek czas wolny u wdowy po Bertalanie. Poczuwał się przecież do obowiązku przyjacielskiego osładzania biednej wdowie dni smutku i żałoby. Podczas tych słodkich, smętnych wieczorów, gdy bezustannie rozmawiali o nieboszczyku, poczęła w sercu pana Forgó kiełkować pewna nadzieja. Kiedyś, po pewnym czasie, naturalnie po upływie żałobnego roku, musi przecież ktoś zcałować łzy z tej ładnej buzi... Dlaczegoż tym kimś nie miałby być on właśnie? Duch Bertalana pobłogosławiłby zapewne to ich małżeństwo... A teraz wszystko dyabli wzięli! Chociaż właściwie nie powinien myśleć w ten sposób...

Miszko czuwał przy słabym płomieniu lampki

nocnej. Przed tygodniem otworzono testament nieboszczyka. Szlachetny Bertalan zapisał swemu służącemu tysiąc guldenów... tysiąc guldenów!... Legatu jeszcze nie wypłacono, ale Miszko wiedział już, co zrobić z tymi pieniądzmi. Postanowił wydzierżawić karczmę »pod trębaczem«. Zawsze szczytem jego marzeń było zostać restauratorem, a teraz ugodził się już z właścicielem i kazał wymalować nowe wywieszki, w ogrodzie zaś urządzał kręgielnię... Słodkie marzenie o trębaczu skończyło się; znał przecież swojego pana. Dostanie od niego dziesiątkę i będzie mu nadal czyścił buty... A przecież mogło iść wszystko tak składnie!

I Hektor nie spał, lecz uganiał groźnie za niewinnymi kotami. Od czasu katastrofy wiódł wspaniałe życie. Każdy odnosił się do psa Bertalanowego z sympatyą, a nawet z pewnym pietyzmem. Ilekroć wdowa spojrzała w wierne oczy Hektora, zawsze zalewała się łzami. Powodując się wrodzoną sobie dobrocią, pozwoliła psu asystować sobie przy obiedzie, a nawet nie miała nic przeciwko temu, że Hektor przepędzał noce na starej kanapie w przedpo-

koju. Z powrotem pana zmieniło się to wszystko. Hektora wyrzucono na podwórze, gdzie na zimnie mógł rozmyślać nad swym gorzkim losem.

domów!... Legacji jeszcze nie wypłacono... Mieszko wiedział już, co zrobić z tymi pieniądzmi. Postanowił wydzierżawić karczmę »pod trębaczem«. Zawsze szczytem jego marzeń było zostać restauratorem, a teraz ugodził się już z właścicielem i kazał wymalować nowe wywieszki, w ogrodzie zaś urządzał kręgielnię... Słodkie marzenie o trębaczu skończyło się, znał przecież swojego pana. Dostanie od niego dziesiątkę i będzie mu nadal czyścił buty... A przecież mogło iść wszystko tak składnie!

I Hektor nie spał, lecz tęsknił [illegible] za nieszczęsnym losem. Od czasu katastrofy wiódł [illegible] życie. Każdy odnosił się do psa Pertalenowego z sympatyą, a nawet z pewnym pietyzmem. Ilekroć wdowa spojrzała w [illegible] oczy Hektora, zawsze zalewała się łzami. Powodując się wrodzoną sobie dobrocią, pozwoliła psu zajmować [illegible] przy obiedzie, a nawet nie miała nic przeciwko temu, że Hektor przesiadywał noce na starej kanapie w [illegible]

FERENC MOLNAR.

(Dzieje się w tej poufnej chwili, gdy wszyscy goście już się zabrali do domu, a w salonie pozostała jedynie gospodyni wraz ze swą najlepszą przyjaciółką, której przez czas przyjęcia szeptała wciąż do ucha: »Zaczekaj, moja droga, aż się wszyscy wyniosą, to się nagadamy do woli«. Panie rozmawiają po cichu.)

Pierwsza: Chcesz usłyszeć coś bardzo ciekawego?

Druga: Także pytanie!

Pierwsza: No, to ci opowiem historyę o naszym słynnym pisarzu, czuję, że muszę ją komuś opowiedzieć koniecznie, a jestem przekonana, że wszyscy nie zrozumieliby tego.

Druga: Mówże więc!

Pierwsza: Było to w ostatnią środę. — Tylko słuchaj. Jeżeli ośmieliłabyś się powątpiewać o prawdziwości moich słów, to nie opowiem ci jej wcale, historya ta zajmie cię bowiem tylko wtedy, gdy uwierzysz, że jest prawdziwa.

Druga: Już wierzę.

Pierwsza: A więc słuchaj. We środę, o godzinie przy kwadransie na ósmą wieczorem, się

4*

KLUCZ.

(Dzieje się w tej poufnej chwili, gdy wszyscy goście już się zabrali do domu, a w saloniku pozostała jedynie gospodyni wraz ze swą najlepszą przyjaciółką, której przez czas przyjęcia szeptała wciąż do ucha: »Zaczekaj, moja droga, aż się wszyscy wyniosą, to się nagadamy do woli«. Panie rozmawiają po cichu).

Pierwsza: Chcesz usłyszeć coś bardzo ciekawego?

Druga: Także pytanie!

Pierwsza: No, to ci opowiem historyę o moim kluczu, gdyż czuję, że muszę ją komuś opowiedzieć koniecznie, a jestem przekonana, że mężczyźni nie zrozumieliby tego.

Druga: Mówże więc!

Pierwsza: Było to w ostatnią środę. — Tylko słuchaj! Jeżeli ośmieliłabyś się powątpiewać o prawdziwości moich słów, to nie opłaci się opowiadać, historya ta zajmie cię bowiem tylko wtedy, gdy uwierzysz, że jest prawdziwa.

Druga: Już wierzę.

Pierwsza: A więc słuchaj. We środę, o godzinie trzy kwadranse na ósmą wieczorem, idę

do domu. Ku mojemu niemałemu zdziwieniu zastaję męża, siedzącego w pokoju jadalnym i czytającego dziennik. Zwykle przychodzi dopiero o wpół do dziewiątej. Przywitaliśmy się tak, jak zwykle. Wydostałam z torebki chusteczkę, gdy nagle wypadł mi na podłogę klucz, wyciągnięty z nią razem. Stało się to widocznie wskutek mojego zdenerwowania, spowodowanego za wczesnem przyjściem męża.

Druga: Tak.

Pierwsza: To samo powiedział mój mąż.

Druga: Co?

Pierwsza: Powiedział: Tak. Bez żadnego powodu powiedział: tak. Czułam, iż się rumienię. Wytresowałam mojego męża o tyle, że jeżeli wypadło mi coś z ręki, on to podnosił zawsze. Rzecz w naszym domu tak naturalna, iż nie było nic naturalniejszego na świecie. A przecież popełniłam błąd nie do przebaczenia: sama podniosłam klucz z podłogi. Wszystko to, to kwestya systemu nerwowego. Cała historya zaczęła się wtedy, gdy zastałam go niespodziewanie w domu, pociągnęła się dalej, kiedy mi kluczyk wypadł z torebki, a skończyła przy jego powiedzeniu: tak. Rozumiałam, że moje zachowa-

nie wykoleja mnie całkowicie i że z tego wyniknie jakieś nieszczęście.

Druga: I wynikło?

Pierwsza: Jeszcze jakie! Mąż uśmiechnął się kwaśno, spojrzał na mnie i chrząkał. Jakżeż głupią minę musiałam mieć w tej chwili. Wreszcie po długiej ciszy — co znów było moim błędem — zapytał się ostrym, niemiłym głosem: co to za klucz?

Druga: Straszne!...

Pierwsza: Pytał, co to za klucz. Bo nie był to klucz zwyczajny. Przedewszystkiem był krzycząco nowy. Błyszczał, ale nie tym zwykłym połyskiem, niklującym stare często używane klucze, tylko takim surowym... wprost od piłki, jednem słowem był to klucz nowy, taki nowy, że już nie mógł być nowszy. Stare klucze mają w sobie coś miłego, przyjaznego. Stary klucz, to przecież zaufany powiernik. Wszak już przeznaczeniem swojem łączy się z różnemi ciekawemi godzinami naszego życia i staje się jakby żywą istotą. A to był nieprzyjemny zdradziecki klucz, noszący jeszcze na sobie ślad ręki ślusarza, która obeszła się z nim brutalnie. Niebezpieczny klucz...

Druga: Ale cóż?...

Pierwsza: Jak mówiłam, zapytał się, co to za klucz? Już dość długo toczyłam się po błędnych szynach, teraz zaś czułam, że nadszedł moment, który moje życie skręci w lewo lub prawo. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to stary dowcip, który czytałam gdzieś jeszcze jako młoda panna. Mężatka przychodzi do domu wprost od kochanka, a mąż pyta: »gdzie byłaś, aniołku?« na co jejmość całuje małżonka i mówi otwarcie: »u mojego kochanka«. Mąż uśmiecha się łagodnie i grozi palcem: »nie rób tego więcej, złotko!« Pierwszą moją myślą było powiedzieć: to klucz od mieszkania mojego kochanka! Ale miałam wrażenie, jak gdyby mi ałun rozpuszczał się w gardle i bałam się, że humor mi nie dopisze, a dowcip się skwasi. Byłam pewna, że jestem już zgubiona. To nie frazes, to prawda. Byłam pewna, że już mi nic nie pomoże. W czasie jednej tysiącznej części sekundy obliczyłam się z życiem i doszłam do przekonania, że pomiędzy mną, a tym człowiekiem, wszystko już skończone. I to była także pierwsza sekunda w mojem życiu, iż się cieszyłam z tego, że nie mamy dzieci. Stałam, jak zupeł-

nie obca i jak ta, która widzi, że musi odrzucić precz wszystkie kłamstwa, pośród których żyła dotychczas.

Druga: I?...

Pierwsza: I... tu można się przekonać, jakie my, kobiety, jesteśmy ordynarne. Nagle śmiertelny spokój opanował moje serce. Owiał mnie chłodny powiew zdecydowania i rozsądku. Gdyby mąż mój był mądry, mógłby był to wszystko wyczytać z mojej twarzy. Nie wiem, skąd mi to przyszło, jak mnie to napadło, dlaczego to zrobiłam, dość, że powiedziałam tonem możliwie najspokojniejszym: Co za klucz? No... od pokoju jadalnego.

Druga: Hm.

Pierwsza: Klucz od pokoju jadalnego. Mogłam byłą powiedzieć, że to klucz od kuchni lub kościoła kalwińskiego. Ale nie powiedziałam. Chwilowy obłęd kazał mi wymówić te głupie słowa: klucz od pokoju jadalnego. Potem pochyliłam głowę i czekałam, kiedy spadnie na nią powała. To się jednak nie stało.

Druga: Tylko?...

Pierwsza: Tylko mąż mój rzekł spokojnie: Klucz od czego? — Klucz od pokoju jadalnego

zapodział się gdzieś, odpowiedziałam, i dlatego kazałam dorobić nowy. Mąż nie wymówił ani słowa, zabrał klucz i poszedł ku drzwiom. Nasza jadalnia ma ich dwoje. Jedne prowadzą do sypialni, drugie do przedpokoju. Mąż zaczął naprzód próbować klucza w zamku drzwi, wiodących do przedpokoju. Ani mowy. Popatrzył na mnie; wzruszyłam ramionami. Potem jeszcze raz obejrzał klucz i zaczął majstrować przy drugich drzwiach. Przeszedł mnie dreszcz śmiertelny... A klucz nadał się najzupełniej. Otwierał i zamykał tak, jak gdyby specyalnie do tego zamku był przeznaczony.

Druga: Jakżeż to?

Pierwsza: Przypadkowo. W pieśniach Yvetty Guilbert dzieją się takie cuda, spowodowywane przez dobrotliwych świętych, którzy litują się nad błądzącą kobietą i w ostatniej chwili czynią cud, aby wzięła sobie do serca tę naukę i weszła z powrotem na drogę cnoty. Myśl sobie co chcesz, wierz w spirytyzm, ale dość, że byłto wypadek ogromnie rzadki. To tak, jak gdyby ktoś wskazał na jednę z kart: To jest ósemka czerwienna i z całej talii wyciągnął właśnie ósemkę czerwienną — przez przypadek.

Druga: Rzeczywiście, cud. No, ale co się potem stało?

Pierwsza: Widzisz, to już nie ładnie, że się pytasz, co się stało potem. Gdyż dotychczas historya była cudowna, mistyczna i bezwarunkowo niecodzienna. Co się potem działo, to każda kobieta powinnaby sama zgadnąć. Co się mogło dziać potem? Stałam się bezczelna, a moje zachowanie wróciło odrazu na właściwe tory. Wzruszyłam ramionami i rzekłam tonem wcale, a wcale nie drastycznym: jesteś obrzydliwy z tą swoją ciekawością. — Nigdy nie dowie się, że do nas wmieszał się jeden z największych przypadków w świecie. Teraz, jako prawdziwy mężczyzna, skonstruje sobie nawet odpowiednią teoryę do tego wydarzenia i będzie głosił, że nie należy podejrzywać kobiety, dopóki nie ma się dowodów w ręce. I nie dowie się nigdy, że już po raz drugi w życiu nie podejdzie tak blizko ku dowodom, jak tym razem.

Druga: A potem?

Pierwsza: Potem jedliśmy kolacyę i nudziliśmy się. Rozmawialiśmy o głupstwach. Ja trzymam się dzielnie i dopiero na drugi dzień rano chwyciły mnie konieczne spazmy. Przyznasz, że

przeciętna kobieta może czuć się po takiej przygodzie, jak ogłuszona...

Druga: Od tego czasu naturalnie...

Pierwsza: Joj, joj, joj! Znowu chciałaś wyrzec coś zwyczajnego. Miałaś zamiar powiedzieć, że zapewne od tego czasu nie znalazłam się nawet w pobliżu mieszkania, do którego ten klucz prowadzi.

Druga: Naturalnie.

Pierwsza: No pewnie, że nie byłam nawet w pobliżu. Ale na drugi dzień on przyszedł do nas i długi czas gawędziliśmy we dwójkę. W jadalni. Opowiedziałam mu — nie całą historyę — lecz tylko tyle, iż odkryłam, że jego kluczem można otworzyć drzwi naszego pokoju jadalnego.

Druga: A on?

Pierwsza: On znalazł się w kropce. Powiedział, że go to bardzo mało interesuje, czy jego kluczem można odemknąć drzwi naszej jadalni, natomiast o wiele ważniejsza jest kwestya, czy można je zamknąć. I...

Druga: I...

Pierwsza: I... zamknął je...

Druga: O! o! o!

Pierwsza: Widzisz, jaka ty jesteś obłudna świętoszka. Alboż nie było to najpiękniejsze podziękowanie dla owego dobrotliwego świętego, czy dyabła, który cud uczynił nademną, że... wzięłam sobie do serca tę naukę? Czyż klucz ma tu jakie znaczenie, lub czy drzwi są znów tak ważne? Nie, moje dziecko. Tu treść jest główną rzeczą...

(Wdziewa eleganckie, drogie futro i idzie do domu).

O PIĘKNEJ PANI.

— Twierdzisz pan zatem, iż zmarnowałeś młodość?

— Bo tak jest niestety!

— I uważa pan to za coś niesłychanie smutnego?

— Zechce pan przyznać, że jest to rzeczywiście chyba czemś najsmutniejszem na świecie!

— Zaraz poznać, żeś pan jeszcze bardzo młody. Chciej pan wierzyć mnie staremu, iż dzieje się w życiu nieraz coś o wiele straszniejszego. Naprzykład, gdy kto zmarnuje starość.

— Jest-że to możliwe?

— Wszystko jest możliwe! Każdemu, kto skarży się przedemną na swą szybko przeżytą młodość, mam zwyczaj opowiadać historyę pewnej starszej damy, która po cudownie przepędzonych młodych latach, doszła w ciszy i czci powszechnej do poważniejszego wieku i następnie w ciągu dwóch miesięcy zmarnowała się zupełnie. Chodzisz pan na wyścigi?

— Nie.

— To jej pan nie znasz. Ja ją zobaczyłem po raz pierwszy na torze. Była tam razem

z mężem, człowieczkiem bez najmniejszego znaczenia. Byli bogaci, dzieci nie mieli. Zamieszkali od kilku lat w stolicy, aby resztę swych dni przepędzić w tym wesołym młynie. Posiadali wspaniałe apartamenty i żyli sobie ot tak z dnia na dzień. Ona była bardzo piękna.

— Ile mogła mieć lat?

— Około pięćdziesięciu. Wyobraź pan sobie kobietkę nie za szczupłą, ani nie za pełną i mimo swego wieku wcale młodo wyglądającą. Taką ona była. Przedewszystkiem dobrze zakonserwowana. Każdy był oczarowany jej świeżym wyglądem; przy jej nadejściu mężczyźni skupiali się w kółka i gromadki, szepcząc sobie nawzajem słowa podziwu i zachwytu, kobiety podniecały się, a dziewczęta — no te były w niej formalnie zakochane. Bo trzeba Panu wiedzieć, że jest to jedynie wymysłem kiepskich nowelistów, iż pierwszą miłością dziewczęcia musi być zawsze student lub oficer. W rzeczywistości zakochują się podlotki w jakiejś ładnej, dojrzałej i rozsądnej kobiecie.

— Więc cóż potem?

— Ja również należałem do towarzystwa, które gromadziło się około niej. Wkrótce nabra-

łem przekonania, że jest ona nietylko piękną, lecz przytem osobą mądrą i wysoce wykształconą — dama w guście księżniczek z utworów Dumasa. Nie mam słów na opisanie wrażenia, jakie wywarła na mnie! Ogniste oczy i włosy czarujące, choć siwe... Stanowiła zawsze atrakcyę towarzystwa, a panowie stale poświęcali dla niej zabawę z innemi paniami. Jednem słowem opłacał jej się pobyt w stolicy. Teraz nadchodzi najciekawsza część historyi. Oto pewnego razu zjawiła się owa pani między nami, ale tak niemożliwie wyperfumowana, że mężczyznom kręciło poprostu w nosach. Był to prawdopodobnie skutek bezustannych komplementów i pochwał, jakie jej ze wszystkich stron w uszy kładziono. Nie lubię przesady, ale jestem przekonany, iż piękna pani poczęła sobie naraz wyobrażać, że nie ma więcej, niż dwadzieścia wiosen. I to było właśnie najtragiczniejsze w jej wieku.

— Czemu?

Kazała sobie w parę dni później zrobić nowy kostyum. Jej dawne suknie przedstawiały wspaniałą i sympatyczną mieszaninę toalet, w jakie stroją się pełne dobrego smaku piękne kobiety

i tych, w których widzimy niekiedy poważne i czcigodne matrony. Krawczynie na prowincyi nie są wprawdzie mistrzyniami, ale oddychając świeżem i konserwującem wiejskiem powietrzem podobnie, jak te, dla których szyją odzienia, umieją zawsze wynaleźć jakąś drogę pośrednią. Miejskie szwaczki nie potrafią zdobyć się na coś podobnego, to też dostała ohydne ubranie naturalnie takie, jakie zamówiła. Zupełnie jak dla młodziutkiej panienki; opięte do niemożliwości. A szumiało — niczem potok górski! Było to coś więcej, niż zwykłe szeleszczenie. Są suknie damskie, które nie szumią, lecz szepcą, wzdychają, jęczą, lub skarżą się pełne tęsknoty... Nigdy nie lubiłem słuchać tej miłosnej rozmowy tualet, a teraz miałem ją wszędzie, gdziekolwiek piękna pani się zwróciła. Przytem te pachnidła! najsilniejsze jakie istnieją: Korylopsis du Japon, Lotus doré, Quintessence de Katalpa, primerose extraessence!.. Bez żadnego przejścia poczęto ją nagle wyśmiewać, ona jednak nie wiedziała o tem. Była pewna, że zajmują się nią więcej, niż dawniej i starała się o ile możności nadal naśladować w ubraniu młodziutkie panny.

Pewnego dnia ukazała się oczom naszym

w kapeluszu, który nazwałem »hekatombą tyranów ptasiego rodu«. Ptaki zielone, żółte, czerwone i niebieskie fruwały po tem cudacznem nakryciu głowy. A potem zaszła rzecz najsmutniejsza. Jej piękne siwe włosy poczęły się odmładzać; stawały się żółtawe. Po trzech dniach były jeszcze więcej żółte, a wreszcie po czterech dniach ujrzeliśmy ją już z włosem ciemniejącym na dobre. Później przychodziła codziennie, a włosy jej miały już barwę całkiem brunatną. Po kilku tygodniach była to nie ta sama kobieta; straszydło upudrowane do niemożliwości, z nakarminowanemi ustami i twarzą zmienioną od masażu. Zaczęto z niej kpić na funty i ostatecznie dowiedziano się, że powodem całego nieszczęścia był... student. Wiemy to aż nazbyt dobrze, iż najnieszczęśliwszem stadyum istnienia mężczyzny jest miłość studencka, a mieszanie nauki z kochaniem, ma zawsze fatalne skutki. Taki rozmiłowany studencik napisał sonet i w tym samym dniu jej uczucie estetyczne zamarło i zostało pogrzebane. Byłem nią do tego stopnia rozgoryczony, że pewnego razu wyraziłem się, iż palenie ciał powinno zobowiązywać wszystkich i to w pew-

nym oznaczonym wieku życia. Tymczasem ona odmłodziła się zupełnie. Przefasonowała się!

— Jak widzę nie była wcale tak bardzo mądra!

— Była, panie, była! ale niestety wmówiła w siebie, że jest młoda. Jestem przekonany, iż całe towarzystwo byłoby w niej zakochane, gdyby nie jej obłęd na punkcie odmładzania. Biedaczka musiała powracać na wieś, ale możesz pan sobie wyobrazić, jak ją tam przyjęto. Nie pozostało jej przeto nic innego, jak zamknąć się w swym dworku i nie pokazywać nikomu. Na szczęście umarła w zeszłym roku.

Oto i jest koniec tej smutnej powieści, którą zawsze przypominam sobie, ilekroć popycha mnie coś do zrobienia głupstwa.

— Jak się on nazywa?

— Piotr.

— Ale nazwisko?

— Nie wymieniam, gdyż chcę opowiedzieć o nim parę poufnych rzeczy. Zresztą to obojętne, gdyż jego historya należy do rzędu takich, przy których na końcu nie obchodzi nikogo, czy jest prawdziwa i kto był jej bohaterem.

— Tyle wiemy już, że był zakochany w sławnej aktorce. Zatem dalej!

— Racya. Był w niej zakochany i to przez kilka lat. Zawsze przebywał w jej garderobie, skąd umiał wypraszać wszystkich jednem spojrzeniem. Aktorka była bajecznie porządna. Była w rodzaju tych, o których mówi się w teatrze, że są niemożliwie przyzwoite. Okoliczność, że należała do pierwszorzędnych piękności nie jest w tym wypadku tak ważna, jak ta, że była niesłychanie uczciwa.

— Miała niezaprzeczony talent. To także wiemy.

— Co? To była jedyna wielka aktorka wę-

gierska; wyczekiwany z utęsknieniem przez całe lata geniusz niewieści. Wyczekiwali na nią dyrektorzy i dramaturgowie. Wówczas stawiała jednak dopiero pierwsze kroki na scenie i tylko wtajemniczeni teatralni augurowie wiedzieli, kogo mają przed sobą. Cieszyła się prawdziwem poważaniem swego otoczenia; nie znalazł się nikt, kto pozwoliłby sobie wobec niej na śmiałość lub żart głupi, a trzeba wam było widzieć, z jakim respektem odzywali się o niej najwytrawniejsi nawet krytycy! Zresztą umiała dużo, oczytana była, jak rzadko kto, a nawet pisywała bardzo ładne wierszyki. Jednem słowem, znała sztukę imponowania światu.

— Ależ do rzeczy! do rzeczy!

— Umiała zatem, jak powiedziałem, imponować każdemu, tylko, zdaje się, sobie nie! Zakochała się bowiem w Piotrze.

— Nie rozumiem.

— Jestem przekonany, że z chwilą, gdy kobieta zakocha się w mężczyźnie, traci całe zaufanie do siebie — i dlatego napiera się tak strasznie, aby jej mąż zwracał je co godzinę. Otóż zadurzyła się na zabój i zwierzyła się z tem przed swym dyrektorem. Ze łzami. Z tego mo-

żecie przekonać się, jak utalentowaną i poważną była aktorką, płakała bowiem przed dyrektorem po raz pierwszy.

— Czy pan uważa za coś hańbiącego, gdy kobieta płacze?

— Nie. U zwykłej kobiety płacz jest jej talentem dramatycznym. Każda rodzi się już z pewną szczyptą aktorstwa, ale jedyną jej rolą jest zawsze płacz. On jest jej sceną, wybraną sztuką i ukochaną rolą, bo przy jego pomocy zdobywa pieniądze, sławę, miłość, wszystko. Jednakże kobieta, która dostanie się na prawdziwą scenę, nie potrzebuje więcej tego surogatu scenicznego, taka nie płacze już, lecz gra. Dlatego mówiłem, że dowodzi poważnego usposobienia dziewczyny to, że wtedy po raz pierwszy płakała w kancelaryi. Nie chcę się teraz rozwodzić długo o tak zwanych łzach w kancelaryach dyrektorskich i kończę: aktorka została żoną Piotra i pewnego dnia oświadczyła, że więcej nie wystąpi.

— Dlaczego?

— Ponieważ Piotr jej nie pozwolił.

— A ona zgodziła się na to?

— Tak. Piotr umiał jej wytłumaczyć, że obe-

cnie powinna być jedynie kobietą, żoną i matką, że dziś nie wypada jej zezwalać na uściski obcych ludzi na scenie, że teraz należy do jednego, a nie do dwudziestu tysięcy, że kwestya, czy jej noga odpowiada wymogom klasycznego piękna, może obchodzić li tylko samego Piotra, nie zaś owe stoośmdziesiąt tysięcy gapiów, którzy byli przypadkowo w teatrze. Poprostu nagadał jej: precz z teatrem! precz ze sceną! ty jesteś moja i niczyja więcej! tak, że wreszcie... Każda kobieta pozwoli sobie nawymyślać, jeżeli czyni to ładny i sympatyczny chłopiec, dlaczegoż więc i aktorka miała zachować się inaczej. Chociaż...

— Chociaż?

— Chociaż Piotr mówił to z innego powodu.

— Był zazdrosny?

— To nie, ale próżny. Siedział w eleganckim urzędzie, brał ładną pensyę i znaczył coś. Bywał jednak w różnych towarzystwach, gdzie słyszał o indywidualności i celach życiowych, pożerał przytem książki o najrozmaitszych kierunkach. Koniec był taki, że zgolił wąsy, zapuścił włosy i począł zajmować się socyologią i uczęszczać na odczyty jakiegoś starego te-

ozofa. Jednem słowem poobwieszał się wszystkimi gałgankami intelektualizmu, w jakie lubi się stroić ta młodzież Budapesztu, która nie jest dość bogata, dość ładna i dość — aryjska, aby poprostu odgrywać młodego, zdrowego mężczyznę. I gdy Piotr oświadczał żonie, mającej więcej w małym palcu, niż on w całej głowie, że nie pozwala jej na dalsze występy, był przekonany, że ofiarą padnie jego indywidualność, oddawana na pastwę marnemu, kobiecemu życiu, ale zato jego obraz nabierze w oczach świata ostrzejszego reliefu i wreszcie będą o nim mówić... Zresztą, po co przeciągać historyę? Ludzie mówili rzeczywiście to, co sobie Piotr życzył. Mówili, iż musi to być silna natura i nie byle jaka osobistość, skoro poważył się i był mocen taki olbrzymi talent zmusić do milczenia. Jakże bogaty musiał być świat jego ducha, skoro tak niecodzienna istota, jak ta aktorka, poddała się zupełnie jego woli! I Piotr szedł przez ulicę z interesującem bladem obliczem, a kobiety szeptały: To jest zdobywca, to jest mężczyzna, który umie zastąpić jej sam dwadzieścia — trzydzieści tysięcy innych, którzy sycą ambicyę i talent aktorki. Tak

szedł codziennie przez ulicę Doroty, niby bóg męskości, jak ten, który sam jeden wystarcza całkowicie wielkiej artystce, który w swej osobie skupił wszystkie interesy tego, pełnego wdzięku, doświadczenia i wielce utalentowanego, dziewczęcia, co dla niego opuściło scenę, dla niego wyrzekło się owych trzech wieczornych godzin, podczas których aktorka kąpie się w blasku spojrzeń, pozwala pochlebiać sobie oklaskiem i czuje, jak z widowni idzie ku niej fala pożądań tysiąca mężczyzn... Kto jej to wszystko umiał zastąpić, ten jest rzeczywiście wielkim mężem. Dlatego właśnie zabronił Piotr żonie dalszych występów. Od dnia, w którym zakaz ten przemienił się w publiczną tajemnicę, stał się Piotr osobą o wiele więcej interesującą, niż ona. W moich oczach równał się on jednak pewnemu owadowi, który dzięki swojej wstrętnej, choć niewielkiej mocy, pędzi żywot pasożytniczy na istocie wyższego gatunku. Robiło to na mnie wrażenie, jak gdyby kto zagarnął wielkiego malarza, uwięził i jego obrazy popodpisywał swojem nazwiskiem — jednem słowem, jak gdyby ktoś ukradł drugiemu wartość, ażeby siebie nią wypchać. Ale ludzie nie znali

Piotra tak dokładnie i na każdym wieczorze ogólne zainteresowanie nie zwracało się ku byłej artystce, lecz ku tej silnej indywidualności, która tak wielką wartość potrafiła w sobie stopić.

— No i jakiż koniec?

— Koniec? Koniec jest ordynarny, ale tak być musiało. Pewnego dnia zjawił się na widnokręgu Paweł, przyjaciel Piotra. Paweł nadskakiwał młodej mężatce i miał powodzenie. Ona zaś, w chwili, gdy poznała, że oprócz Piotra jest ktoś drugi na świecie, pomyślała sobie, że oprócz tego drugiego, jest jeszcze trzydzieści tysięcy innych... Tego samego dnia powróciła na scenę.

— Gdy Piotra...

— Proszę, proszę — tylko bez pośpiechu! Nie oszukała Piotra. Pod wyrazem »powodzenie« rozumiałem co innego. Oszukała Piotra tylko co do teatru. Dla niej istniał bowiem albo jeden mężczyzna, albo trzydzieści tysięcy. Tem właśnie różni się artystka od zwykłej kobiety, dla której egzystuje albo jeden mężczyzna, albo drugi. Koniec końców powróciła na scenę pulchniejsza nieco i więcej pociągająca, niż kiedy-

kolwiek. Ma ogromną gażę, a Piotr zadowolenie, gdyż się pokazało, że rozumował słusznie.

— Jakto?

— Ponieważ nie nazywa go nikt inaczej, jak mężem artystki. Jest on taki próżny i taki płaski, jak ów odpustowy, gutaperkowy prosiak, z którego po sztucznem nadęciu wyszło już powietrze.

— Ale jak się zachowuje wobec tego?

— Pogodził się z tem zupełnie. Porzucił swoje stanowisko w urzędzie i przesiaduje całymi dniami w kawiarni. Jest jeden wyraz, którym możnaby określić jego obecny zawód, lecz ze względu na obecne damy...

— I to wszystko?

— Tak, to wszystko.

BUDOWNICZY.

NOWOCZESNA LEGENDA.

I.

Przed wielu laty zdarzyło się, iż do jednego z nowopowstających miast Ameryki przybył pewien inżynier i osiadł tam na stałe. Był to wysoki blondyn, wyższy o głowę od wszystkich inżynierów, jacy mieszkali w owem mieście. A mieszkało ich tam sporo, gdyż osada ta powstawała nagle i dlatego potrzeba było jak najwięcej ludzi, którzy znaliby się na budowie domów, mostów i kanałów. Ów wysoki inżynier przybył z Niemiec; parę lat żywił się drobniejszemi pracami, a przez ten czas — jak zresztą prawie wszyscy z jego szczepu — umiał się stać nieznośnym dla każdego. Nawet dla tych którzy mogli mu dać robotę. Miał lat pięćdziesiąt, ale przy całej pewności siebie brakowało mu koniecznego rozsądku. Przeholował zawsze. Przy tem wszystkiem oszukiwał siebie samego, jak gdyby był najmłodszym człowiekiem w całem mieście i rzeczywiście bywały dni, w czasie których można go było wziąć za rozpieszczone dziecko, chociaż kto jego tam mógł rozpieścić? Chyba nie rodzice, bo i tych nawet

musiał opuścić, nie mogąc się z nikim w domu pogodzić.

Pozatem inżynier był człowiekiem wysoce utalentowanym, i nie było w mieście obywatela, któryby nie podzielał tego przekonania. Jednakowoż koledzy jego umieli zawsze w walce konkurencyjnej wyzyskiwać jego gwałtowne i gburowate zachowanie się i stale odsuwali go od ważniejszych budowli. Było to całkiem naturalne, bo przecież ludzie, płacący grube sumy inżynierom, mają prawo wymagać, aby ci posiadali przedewszystkiem dobre maniery i jakie takie wychowanie; naturalnie, pewna doza talentu zawsze jest potrzebna.

Nic przeto dziwnego, że jasnowłosy inżynier w pięćdziesiątym roku życia, a więc u szczytu swej twórczości i siły męskiej, mieszkał w jednym małym pokoiku i zadowalać się musiał zimną kolacyą.

Pewnego dnia postanowiła rada miejska wznieść na pięknem wzgórzu, wspaniałą świątynię na cześć Pana. Rozpisano zwykły konkurs, na który nadesłali swe plany nietylko budowniczowie będący na miejscu, lecz także ich współzawodnicy ze wszystkich części świata. Nade-

szło sześćset sześćdziesiąt sześć projektów. Pierwszą nagrodę i polecenie wykonania pysznej budowli, otrzymał jasnowłosy inżynier. Rozstrzygnięcie było zupełnie sprawiedliwe, gdyż w samej rzeczy jego kościół był najpiękniejszy, najdoskonalszy i najwięcej nastrojowy. Już nazajutrz otrzymał szczęśliwy budowniczy stosy listów, pełnych wyrazów najwyższego podziwu, tak z miasta, jak z okolicy, a nawet z samej Europy.

Każdy kto przyjrzał się rysunkowi, był przekonany, że świątynia ta będzie ósmym cudem świata.

II.

W rok potem zabrał się do budowy kościoła. Miał już pięćdziesiąt jeden lat, ale w tym ostatnim roku odpłaciło społeczeństwo jego sławie i ambicyi wszystko to, co było mu dłużnem za cały ciąg jego dotychczasowego żywota. Imię jego stało się sławnem wszędzie. Pisma ilustrowane zamieściły projekt, podobiznę i życiorys nieznanego do niedawna inżyniera. Był wielkim człowiekiem.

Powodzenie nie przyniosło mu jednakże spo-

koju duchowego, ani też nie złagodziło jego zawziętości wobec bliźnich. Owszem: duma i mizantropia wzmogły się do jeszcze większych rozmiarów. Tych, którzy mu schlebiali obecnie, nienawidził jeszcze bardziej, niż owych, którzy prześladowali go podczas dawnych walk z losem.

Okno jego pokoiku było noc w noc oświetlone. Siedział przy stole i obliczał. Całe miesiące przepędzał tak zgarbiony i milczący, nie wypuszczając z rąk ołówka. Wreszcie skończył rachunki.

Teraz wiedział już, w jaki sposób może oszukać miasto. Udało mu się tak skonstruować potężną kopułę świątyni, unoszącą się bez podpór w wielkim łuku nad olbrzymią budową, że z trzydziestu milionów, jakie rada miejska na ten cel wyznaczyła, będzie musiało dla niego pozostać dziesięć milionów, oprócz jednego, należącego mu się za robotę. Obliczania nie dlatego trwały tak długo, iżby trudnem miało być ukrycie dziesięciu milionów, lecz dlatego, że musiał nadzwyczaj sprytnie oszukać. Zagubić gdzieniegdzie jakąś pozycyę, ukraść nieco ze spoideł żelaznych, podsunąć chytrze gorszy

gatunek cegieł, kombinować śmiało i przebiegle. Wreszcie udało mu się — miliony były już napewne w jego posiadaniu.

Inżynier tryumfował. Zdawało mu się, że się wreszcie zemścił na społeczeństwie. Był zupełnie spokojny, gdyż komisya, rewidująca rachunki, nie znalazła ani śladu jego piekielnego oszustwa. Teraz stał się nagle łagodniejszym wobec ludzi i nie gardził już pochlebcami.

Po czteroletniej wytrwałej pracy, świątynia była wykończona. Jedenaście milionów inżyniera procentowało się w jedenastu wielkich bankach europejskich pod rozmaitymi pseudonimami i cyframi. W tydzień po poświęceniu kościoła, zjawił się w nim jego twórca. Przyniósł z sobą najdelikatniejsze narzędzia pomiarowe i skonstatował, że położenie kopuły zmieniło się z powodu oszustwa o niesłychanie drobny kawałeczek. W drugim tygodniu przekonał się, iż kopuła pochyliła się znowu o takąż część milimetra, co w poprzednim. Jej wytrzymałość zmniejszała się zatem; katastrofa była nieunikniona. Budowniczy, pospieszył do domu i w pięciu minutach obrachował, iż

olbrzymia kopuła, pod którą zwykło się modlić kilka tysięcy ludzi, musi się zawalić w pięćdziesiąt jeden lat, cztery miesiące i trzynaście dni, a upadku jej nie przewidzi nikt, ani na jedną minutę naprzód. Będzie zatem katastrofa, jaką rzadko kiedy świat widział, a na drugi dzień najmłodszy budowniczy potrafi udowodnić, iż jasnowłosy inżynier oszukał haniebnie, wiedząc z góry, iż nieszczęście musi nastąpić. I tego dnia imię jego będzie imieniem najpodlejszego człowieka na świecie.

Budowniczy dumał całą noc.

— Mam teraz pięćdziesiąt pięć lat. Ażeby dożyć do owego dnia, musiałbym dożyć do stu sześciu. To jest jednak niemożliwe. Mogę zatem żyć swobodnie. Katastrofa nastąpi dopiero po mojej śmierci, a co wtedy będą ludzie o mnie mówili, to mnie najmniej obchodzi!

Nad ranem położył się do łóżka i zasnął smacznie. Odtąd począł rzeczywiście żyć szczęśliwie i spokojnie.

III.

Budowniczy wdział frak i udał się na bal wydany przez burmistrza. Podczas tańców,

usiadł na uboczu i przyglądał się wirującym parom.

Nagle spostrzegł koło siebie rozpromienione, pulchniutkie dziewczę. Nie mógł wytrzymać, aby z nią nie zamienić słów paru.

— Kto pani jest? — zapytał.

— Jestem córką magistrackiego urzędnika.

Inżynier spojrzał tak jakoś dziwnie na młodą pannę, że ta przelękła się i wypuściła z rąk wachlarzyk. Wkrótce jednak roześmiała się i rzekła:

— Proszę, podnieś pan mój wachlarz!

Budowniczy schylił się i podał wachlarzyk pannie. Podziękowała mu i zabierała się do odejścia.

Nagle inżynier spuścił oczy ku ziemi i zapytał cicho:

— Dlaczego pani odchodzi?

A potem jeszcze raz:

— Dlaczego pani odchodzi?..

IV.

Jakoś w cztery miesiące po ślubie, podeszła ku inżynierowi jego pulchniutka żona i zarumieniona szepnęła mu coś do ucha.

Od tego dnia jasnowłosy budowniczy chodził znowu ze spuszczoną głową. Stał się takim, jak wówczas, gdy mieszkał w swym pokoiku i jadał zimną wieczerzę. Kłócił się ze wszystkimi, poobrażał burmistrza i różnych dostojników miejskich — zrobił się nieznośnym.

Mijał miesiąc po miesiącu, aż wreszcie nadszedł dzień, w którym jego żona powiła syna. Chłopak podobny był do ojca. Dobrze zbudowany, silny, zdrów, oczy miał niebieskie, włoski jasne. Budowniczy porwał go na rękę, a w tej chwili jego silne ramię zadrżało... Poszedł z dzieckiem do drugiego pokoju i jak mógł najczulej ucałował czoło żony. Jeszcze tego samego dnia zamknął się w swoim pokoju i nie wyszedł stamtąd przez dwie doby. Gdy mu chciano podać jedzenie, wołał ochrypłym głosem, iż niczego nie potrzebuje.

Wreszcie trzeciego dnia nad ranem podszedł ku kolebce syna, wziął go ostrożnie na ramiona i chodził z nim po wszystkich pokojach. Gdy dziecię zapłakało, budowniczy zląkł się, myślał bowiem, że jest chore. Skoro mu jednak wytłumaczono, że każde małe dziecko płacze, uwierzył i uśmiechnął się jakoś niemądrze. Od tego

czasu nie chciał rozłączać się z synem. Dnie i noce przepędzał przy nim, czuwając i nadsłuchując.

W tydzień potem zabrał z sobą swoje znakomite przyrządy i udał się na wązkie schody, wiodące na kopułę kościelną. Zanim wziął się do mierzenia myślał:

— Z tych fatalnych pięćdziesięciu lat, rok już upłynął. Ja nie dożyję dnia katastrofy, ale dziecko moje dożyje. A teraz nie jest mi już wszystko jedno, czy imię moje będzie najpodlejszem na świecie, czy nie!

I zapłakał gorzko.

Płakał, bo wiedział, iż nie ma wyjścia. On będzie wprawdzie w grobie, lecz syn pozostanie na świecie.

Otarł łzy i wyjął instrumenty. Skończywszy raz mierzenie, rozpoczynał na nowo. Trzydzieści trzy razy przemierzył wieżę podług nieomylnych prawideł geometryi i arytmetyki i trzydzieści trzy razy otrzymał ten sam wynik. Tylko wynik ten różnił się wielce od dawnego. Pokazało się, że kopuła nietylko nie zmieniła położenia, ale nawet owo niedostrzegalne prawie pochylenie, które skonstatował w dwa tygodnie po poświę-

ceniu, znikło gdzieś zupełnie. Kopuła stała mocno i pewnie, jak gdyby jej nie ukradziono wytrzymałości za dziesięć milionów. Stała tak, jak właśnie życzyło sobie miasto. Wymierzył przecież trzydzieści trzy razy.

Zdumiał. Czyżby to było możliwe? A jednak tak było w istocie. Obejrzał się wkoło i znów zabrał się do mierzenia. Mierzył wytrwale aż do wieczora — rezultat wciąż był jednakowy. Noc całą przepędził w swoim pokoju, a rano, rychło świt, był już w kościele i mierzył na nowo. Przeszło trzysta razy. Pomyślał o synu. W każdej minucie ostatnich długich pięciu lat kroczyły prawa fizyki drogą, jaką on przy pomocy swej wiedzy naprzód już obliczył. Od pierwszego projektu, aż do skonstatowania owego pochylenia, była nauka wierna na jedną tysięczną część milimetra temu odwiecznemu prawu, które niewidzianą przepisuje drogę każdemu spadającemu listkowi. A teraz...

Spoglądał z wysokości ku kamiennej posadzce świątyni i czuł, że głowa jego zwisa mu coraz bardziej i że on leci za nią... Zakrystyan znalazł zwłoki jego na środku kościoła.

V.

A świątynia stoi do dzisiejszego dnia, piękna i niewzruszona, choć od tego czasu minęło już lat dwieście...

ZOLTAN AMBRUS.

Różycki Różycki

PROTEKCYA.

Petö przychodził już o siódmej rano do ministeryum. Swoje rachunki lubił robić zawsze o tej porze, gdyż nie przeszkadzały mu wtedy gadania kolegów. Od pewnego czasu był wszakże ogromnie roztargniony i mylił się bez ustanku w dodawaniu.

O tym czasie inni jeszcze spali. W dużym pokoju, zwanym »Granarium«, siedział stary rachunkowiec sam, podczas gdy woźny kończył sprzątanie, stawiał na każdem biurku zapalniczkę i napełniał kałamarze atramentem.

Stary był zawsze świeży i wypoczęty i robił dziarsko, to też gdy o dziewiątej przyszedł pierwszy urzędnik, miał już zliczone około dwieście kolumn. Wtedy zabierał się do innej roboty, wiedział bowiem, że dalej już nie będzie miał potrzebnego spokoju.

Dopóki koledzy dyskutowali niewinnie, to szło jeszcze jako tako. Nie obchodziły go bowiem bajeczki biurowe, ale kiedy o godzinie dziesiątej zbliżył się ku jego miejscu kontrolor i rozpoczął ożywioną rozmowę z wysokim młodzieńcem, którego Petö z całej duszy nienawi-

dził, silił się stary, aby myśleć o czemś innem, wszystko jedno o czem, byle tylko nie o tem, o czem tamci gwarzyli.

Biurko starego stało tuż przy piecu, a kontrolor, pan Kajetan Ince, lubił przynajmniej przez godzinę grzać sobie ręce i nogi, zanim zdecydował zabrać się do pracy. Aby skrócić sobie te nudne chwile, rozmawiał zawsze z Arpadem Blitzem o różnych sprawach pozaurzędowych. Ten Arpad Blitz był to zamożny chłopak, najmłodszy praktykant w całem ministerstwie, obecnie prowizorycznie przeniesiony do oddziału rachunkowego, gdzie miał wydoskonalić się i w tej gałęzi administracyi.

Ani kontrolor, ani Arpad Blitz, nie troszczyli się napozór o pracującego pilnie tuż obok starego, a przynajmniej udawali to wybornie. — Stary irytował się zawsze ich rozmową, a niekiedy był nią tak zdenerwowany, że tylko symulował robotę i kreślił bezsensowne liczby na przygotowanym umyślnie arkuszu.

Dziś musiał połykać szczególnie interesujące rzeczy.

Arpad Blitz opowiadał kontrolorowi swoją przygodę z jakąś aktorką. Panienka otrzymała

mniejsze wynagrodzenie, niż się spodziewała i dlatego postanowiła go obrabować. Opowiadanie to posłużyło obu panom za temat do pouczającej rozmowy o artystkach, a w rezultacie do konkluzyi, że w teatrze niema ani jednej kobiety porządnej.

Chętnie byłby się Petö wtrącił do tej rozmowy!... Ale, co mógł im powiedzieć? Że i tam są kobiety uczciwe?! I że jego córka jest także aktorką, a przecież... Panowie wiedzą o tem bardzo dobrze i już dla tego samego postępowanie ich jest ordynarne. Jakiż koniec mogłaby mieć taka dyskusya? Taki, że pokłóciłby się z kontrolorem, który mógł mu dokuczać potem w różny sposób?

Rozmawiający panowie przeszli wreszcie na ulubiony temat o podwyższaniu gaż, a Arpad Blitz oświadczył, że świat nie widział jeszcze takiego paszy, jak ich sekretarz stanu. Dopóki polityka się nie zmieni i nie wymiecie tego łaskawego hrabiego z ministerstwa, dopóty awansować będą tylko ci urzędnicy, których żony lub córki były na tyle szczęśliwe, że umiały się spodobać ekscelencyi. Obecnie z pewnością jedynie ci pójdą w górę i otrzymają podwyżki, których

prośby wytłomaczą szefowi ładne, świeże wargi kobiece, albo ci, którzy mu już wcześniej przedstawili swoje żony, czy córki.

W ten sposób pastwili się obaj urzędnicy przez jakie dziesięć minut nad swoim kolegą, a starowina potrzebował ogromnego zasobu siły, aby im nie nawymyślać. Zrozumiał jednak, że to pogorszyłoby tylko sprawę; jutro mówiliby o tem wszyscy. Wywoływanie skandalu niema sensu — przełknął więc pigułkę i milczał.

Zresztą wiedział, że niezadługo otrzyma niewielką podwyżkę gaży. Nie zaznał tej przyjemności już od lat pięciu, należała mu się już zatem oddawna... Miał przytem nadzieję, że ekscellencya, dobrze ku niemu usposobiony, nie ominie go tak, jak poprzedni sekretarz stanu.

Ciekawe tylko, czy wtedy, gdy uda mu się otrzymać te nędzne sto guldenów podwyżki, nie zechcą koledzy mówić o nim tak, jak przed chwilą?

Czyż nie mierzyli wprost w niego? A może dowiedzieli się już, że hrabia, rzeczywisty mecenas sztuki, dowiedział się o niezwykłym talencie jego córki i z własnej kieszeni opłaca mistrza, u którego kształci się Julcia? Chociaż

hrabia przyrzekł, że nikt o tem się nie dowie, a umie przecież dotrzymać słowa w każdej sprawie. Pozatem nie widuje zupełnie Julci. Ona sama to mówiła, a Julka nie kłamie nigdy.

Mogli jednak dowiedzieć się skądś o tem; może profesor wypaplał się mimo wyraźnego zakazu hrabiego. Swoją drogą niepotrzebnie przystał na przyjęcie tej pomocy... Bo choćby hrabia był nie wiedzieć jak szlachetnym człowiekiem, nie powinno się było zgadzać na rzecz, którą teraz trzeba trzymać w ukryciu. To nie w porządku. Ale czyż mógł odrzucić ofiarę ekscellencyi?... Wszak hrabia czuł się już obrażony przez jego zwlekanie i niedowierzanie!... Szefa całego urzędu nie należało przecież drażnić uporem! Od niego zależy awans i wogóle wszystko. Jedno jego słówko mogło go pozbawić chleba na starość!...

Myśli napływały mu do mózgu coraz nową falą.

Czemuż przystał wówczas na to, aby Julcia poszła do akademii artystycznej?

Wciąż brzmiał mu w uchu niemiłosierny głos bratowej:

— Petö! Petö! Całe życie byłeś poczciwym

człowiekiem, jak możesz dziś z córki robić aktorkę...

Naturalnie, jeżeli krewni mówią w ten sposób, to czyż dziwota, że obcy nie starają się go oszczędzać.

Obaj koledzy dawno już przestali rozmawiać, stary nie mógł się wszakże uspokoić, tak go bolało to, co usłyszał.

— I tacy to mówią, tacy?... myślał z goryczą. — Lepiej zrobiliby, gdyby raczej patrzyli swojego nosa. Ten pan chce rozstrzygać, jaka kobieta uczciwa, a jaka nie, on, którego żona daje naprawdę dużo tematu do mówienia o sobie?... Czy pan ten nie wie, co o jego żonie szepcą sobie na ucho nietylko urzędnicy, ale i woźni? Że jaśnie pani nie stroi się bynajmniej za pieniądze zarobione przez pana kontrolora, lecz za te, które udaje jej się zarobić sposobem, nie przynoszącym zaszczytu ani jej, ani jemu. Jeżeli pan Kajetan tego nie wie, to powinienby się tem interesować, jeżeli zaś wie, to niech nie zabiera się do stanowienia o uczciwości! Albo ten drugi! Mówi o moralności, lichwiarz obrzydły, któremu najwięksi nędzarze płacą za liche mieszkania w jego kasarni czynszowej

trzy razy tyle, niżby mu płacili roczni lokatorzy. I ten prawi o moralności!...

Bez ustanku kręciło mu się po głowie to, co ci tam pod piecem mówili.

Darmo wczytywał się w jakieś pismo, przed nim leżące. Nie rozumiał ani słowa... Musiał zatem symulować dalej pracę i myśleć o tem, co go tak okropnie irytowało.

Naraz opadły go straszliwe wątpliwości.

A jeżeli oszukano go!

Nie, to niemożliwe! Gdyby hrabia nie dotrzymał przyrzeczenia, dowiedziałby się tego z pewnością od Julci. Ona nie potrafiłaby go okłamać i gdyby nawet kiedyś zbłądziła, to jedynie z prawdziwej miłości i wtedy sama powiedziałaby była o tem staremu ojcu. Przecież i ona nie chciała słyszeć o jakiejkolwiek pomocy materyalnej. Głupstwo!...

Opędzał się, jak mógł, złym marom, ale nie mógł się uspokoić. Napróżno brał się z całym zapałem do swych kolumn liczbowych, wciąż musiał rozpoczynać dodawanie na nowo.

Nie zauważył nawet, że już dwunasta. Z tego dziwnego stanu wyrwał go dopiero głos woź-

nego, który zawiadomił starego, że sekretarz stanu wzywa go do siebie.

Starowina był pewny, że go apopleksya rusza. Nogi drżały pod nim. Jeżeli to podwyższenie gaży, nie przeżyje hańby!

Udało mu się wreszcie zleźć na pierwsze piętro. Hrabia przyjął go bardzo grzecznie i wskazał mu uprzejmie krzesło.

— Kochany panie Petö! — przemówił za chwilę szef, — muszę panu powiedzieć bardzo niemiłą nowinę. Wbrew moim najlepszym intencyom, rozniosła się po mieście sprawa, o której panu wiadomo, a złośliwi tłómaczą rozmaicie moje dobre chęci. I teraz muszę wbrew swojej woli szkodzić panu, zamiast mu dopomódz. Ale pan jest dzielnym człowiekiem i zrozumie mnie całkowicie. Krótko mówiąc, proszę się nie dziwić, jeżeli pan się dowie urzędownie, że pomiędzy nazwiskami awansujących i otrzymujących podwyżki nie będzie tym razem pańskiego. Wprawdzie dawno już należy się to panu i przyznaję, że pan jest jedynym pokrzywdzonym, ale nie mogłem pokierować tej sprawy inaczej z powodu wiadomych okoliczności. Obaj bylibyśmy skompromitowani, jeże-

libym teraz przysłużył się panu czemkolwiek... Kiedyś wynagrodzę to panu, tymczasem zaś sądzę, że zechce pan zrozumieć powody mojego kroku...

Petö mało nie oszalał z uciechy i byłby chętnie ucałował rękę hrabiego, gdyby ten na coś podobnego pozwolił.

— Przecież to dobrze, — mówił, wspinając się z powrotem na trzecie piętro, — przecież to dobrze, kiedy człowiek ma bodaj jaką taką protekcyę! Gdybym jej nie miał, byłbym już moralnym nieboszczykiem... tak zaś mogę znowu wejść pomiędzy ludzi z podniesioną głową...

libym teraz przysłużył się panu czemkolwiek. Kiedyś wynagrodzę to panu, tymczasem sądzę, że zechce pan zrozumieć powody mojego kroku.

Petö mało nie oszalał z uciechy i byłby chętnie ucałował ręce hrabiego, gdyby ten na coś podobnego pozwolił.

— Przecież to dobrze, — mówił, wspinając się z powrotem na trzecie piętro, — przecież to dobrze, kiedy człowiek ma bodaj jakąś taką protekcyę. Gdybym jej nie miał, byłbym już moralnym nieboszczykiem. Jako tako mogę znowu wejść pomiędzy ludzi z podniesioną głową...

JENŐ BINDER.

7*

NIEPOROZUMIENIE.

Dr. Molnàr napełnił raz jeszcze szklanki znakomitym tokajem.

— Na twoje powodzenie przyjacielu! — trącił o lampkę zadumanego towarzysza, pana Ernesta Czakó, który siedział naprzeciw niego, wystrojony w eleganckie ubranie wizytowe, przyjechał bowiem do miasta, gdzie Molnàr był lekarzem powiatowym, w celu starania się o posadę dyrektora w wyższej szkole żeńskiej dla córek miejscowej inteligencyi.

— Jeszcze jedno! Nie zapomnij udać się przedewszystkiem o protekcyę do właściciela hotelu »pod węgierskim królem«. Jeżeli tego będziesz miał za sobą, to możesz być pewny, że celu dopniesz, bo człowiek ten ma w naszem mieście szalone wpływy. Nie zwracaj przeto uwagi na jego gburowate wyrażenia, jest to bowiem już w jego naturze, że z nieznajomymi obchodzi się nie bardzo grzecznie. Bądź zatem ostrożny i atakuj go śmiało!

— Dziękuję ci serdecznie za dobrą radę; mam nadzieję, że spodobam się staremu!

— Życzę ci tego z całej duszy! Jeden błąd

popełniłeś już jednak przez to, że stanąłeś w hotelu »narodowym«, ale ostatecznie może ci to nie zaszkodzi.

Przyjaciele pożegnali się i pan Ernest Czakó odszedł z sercem przepełnionem błogą nadzieją otrzymania upragnionej posady. Dotychczas nie miał jakoś wprawdzie szczęścia, ale teraz był pewien, że jutrzejsza próbna lekcya wypadnie pomyślnie.

* * *

Właściciel hotelu »pod królem węgierskim«, p. Tomasz Finom, zabawiał się do późnej nocy z kolegami, to też obudził się w porze, w której inni obywatele wypełnili już dość znaczną część swego codziennego zatrudnienia.

Rozsunął czerwone firanki, zawieszone nad oknami i zabrał się do przeglądnięcia rannej poczty, którą przyniosła mu jego jedynaczka Etelka. Były to prawie same cenniki, oferty i rachunki; między nimi zaś znalazł się jeden, jedyny list, adresowany jakiemś nieznanem pismem, zaopatrzonym zamaszystymi wykrętasami. Rozerwał kopertę i zabrał się do czytania

Łaskawy i wielce szanowny Panie!

Najpokorniej upraszam o łaskawe użyczenie mi bezpłatnie pańskiej wielkiej stodoły, aby w tejże mogła moja znakomita trupa teatralna dać kilkanaście przedstawień. Pozwalam sobie zauważyć, że w repertuarze mam oprócz arcydzieł klasycznych, także najnowsze modernistyczne utwory. Nieprawdaż, przezacny protektorze i mecenasie sztuki, iż nie zechcesz Pan odmówić? Do kogóż zwrócić się mamy o pomoc, jeśli nie do jednego z głównych filarów tutejszej inteligencyi? W Tàrcsa, gdzie dotychczas graliśmy, zmuszony byłem do głodowania wraz z mą zacną żoną i czworgiem kochanych dziatek! Jeżeli pozwolisz łaskawy panie, przybędę jutro, aby złożyć ci mój szacunek, z jakim zawsze pozostaje

najoddańszy sługa

Tiwadar Gyönyörfi.

— Znakomity ten stary komedyant! zaśmiał się Tomasz Finom. — Ależ dam mu, dam stodołę — i tak stoi próżna. Ci oberwani głodomorzy wniosą przynajmniej trochę życia do naszych codziennych nudów.

Pan Finom był wielkim przyjacielem i znawcą

teatralnym, być może dlatego, że sam niegdyś statystował w jakiejś prowincyonalnej szmirze i wtedy właśnie zakochała się w nim jego połowica, za którą otrzymał wcale piękny posag, stanowiący podstawę jego obecnej egzystencyi. Rozmyślał właśnie nad wybraniem repertuaru dla teatru Gyönyörfiego, gdy urocza szesnastoletnia jedynaczka przyniosła mu śniadanie.

— Dzień dobry tatku! Mama poszła do praczkarni — czy mam iść jej pomódz w doglądaniu?

— Nie teraz dziecko, bo ja również wychodzę, a przecież musi ktoś pozostać w domu.

— A gdzież się to tatuś wybiera?

— Do wielkiej stodoły, którą zeszłego roku wystawiłem.

— Ach! teraz już wiem! przyjechali aktorzy!

— Skąd wiesz?

— Bo mówił mi kelner, że na dole w restauracyi siedzi jakiś jegomość w czarnem ubraniu, z ogoloną twarzą, który już oddawna czeka na ciebie tatku! To pewnie dyrektor.

— Pewnie, pewnie!

W tej chwili kelner zapukał do drzwi.

— Panie Finom, jakiś pan oczekuje pana na dole.

— Niech poczeka! Za pół godziny przyjdę. Muszę przecie zjeść śniadanie. Proszę mu postawić szklankę piwa i porcyę szynki na mój rachunek.

— Dobrze!

Kelner zbiegł szybko do restauracyi i w dziesięć minut później postawił szynkę i piwo przed panem Ernestem Czakó.

— Pan Finom przyjdzie zaraz! zameldował i znikł we drzwiach, prowadzących do szynkarni, gdzie Tiwadar Gyönyörfi z pustym żołądkiem ale zato z niezwykłą wymową, przedstawiał obecnym wszelkie rozkosze duchowe, jakich doznają mieszkańcy miasteczka z powodu przyjazdu jego trupy.

— Skąd przyszło u dyabła kelnerowi do głowy przynosić mi szynkę, skoro jej nie zamawiałem? — mruknął pan Czakó, pogrążając się w bezmyślnem odczytywaniu anonsów na ostatniej stronie przedwczorajszego dziennika.

— He! he! dyrektorku! Cóż to? nie macie apetytu? zahuczał nagle basem Tomasz Finom.

Czakó zerwał się i złożył gospodarzowi nizki

ukłon, ale jowialny restaurator posadził go napowrót na krześle i poklepał uprzejmie po kolanie.

— Wiem! wiem! Pan jesteś dyrektorem i chciałbyś pan tu...

— Tak! tak! łaskawy panie! wyjąkał Czakó, zdziwiony niepomiernie przyjaznem przyjęciem, na jakie nie był przygotowany.

— No no! tak źle nie musiało się panu powodzić na dawnem miejscu, mówił pan Finom. Myślałem, że pan wygłodzony i dlatego...

— Ależ proszę bardzo!...

— Tylko żadnych usprawiedliwiań! Kto nie bierze, ten ma widocznie dosyć! Cieszy mnie, że pan tak przyzwoicie ubrany. Elegancki frak, nowiutki cylinder i czyściutka bielizna! To robi zawsze dobre wrażenie.

— Zdaje mi się, że ten dureń jeszcze jest pijany! myślał sobie Czakó i obcierał spocone czoło. Starego nie można jednak drażnić. Niech plecie, co mu się podoba!

— Jeżeli się panu początek powiedzie, to możesz pan liczyć na piękny dochód, — mówił w dalszym ciągu gospodarz. — Główna rzecz, abyś pan umiał utrzymać w rygorze całą bandę.

Żadne miłostki i tym podobne historye. Za czasów pańskiego poprzednika przybrały te rzeczy potworne rozmiary. Co dnia urządzały sobie damulki kolacyjki z tutejszymi panami, aż wreszcie mieszkańcom było tego za dużo i dyrektor musiał iść w dyabły.

— U mnie coś podobnego dziać się nie może — zapewniał Czakó — i nie rozumiem, jak dyrektor...

— No! no! przyjacielu! Żaden z was nie jest aniołem! A jak tam z repertuarem?

— Z repertuarem? — Czakó wzruszył ramionami. — Ja osobiście jestem zwolennikiem nowych prądów, a czy znam się na mojej rzeczy, to będziesz pan mógł najlepiej jutro osądzić na próbie.

— Jakto? więc już jutro próba? A to znakomicie! Muszę panu powiedzieć, że znam się cośkolwiek na tych sprawach, może nawet więcej, niż pan przypuszczasz. Najpierw musimy dać »Na dnie« — to pociągnie! Tem zdobędziesz pan sobie naszą publikę! Wierz mi pan! Potem trzeba również pomyśleć o młodzieży i wyszukać dla niej coś klasycznego. Cóż pan ma na myśli?

— Straszny człowiek, — myślał Czakó, ale opanował się i dodał:

— Jeżeli to pana interesuje, to mogę powiedzieć: »Juliusz Cezar«, »Wilhelm Tell«

— Ale, ale! Jeszcze czego?! Takie wymłócone, oklepane, jabłkowe historyjki! Ludzie umieją to już na pamięć. Dajmy lepiej: »Götz z Berlichingen« albo »Zbójców«.

— Sądzę, że to nie byłoby wcale odpowiednie dla »wyższych córek« — zauważył Czakó i podniósł się z krzesła, bo jego cierpliwość wyczerpała się już zupełnie.

Gospodarz nie zwrócił na to wcale uwagi.

— Nie bądź śmieszny dyrektorku! Właśnie te anemiczne lalki powinno się zawczasu zaznajomić z życiem za pomocą sztuk realistycznych i prawdziwych!

— Szanowny panie Finom! Bardzo mi przykro, ale w podobnych sprawach nie znoszę wtrącania się obcych osób. Pan rozumiesz się na tem tyle, co ja na manipulacyi z piwem lub winem!

Porwał za kapelusz i zabierał się do wyjścia, gdy w tem zjawiła się Etelka.

— Tatku! tam czeka...

Nagle spojrzała na pana Czakó i zarumieniła się po uszy.

— Dzień dobry panu dyrektorowi!

Czakó stał zażenowany i niezgrabnie podał rękę pięknej dziewczynie.

— To znów co? zahuczał pan Finom.

— Przecież to pan dyrektor, z którym zapoznałyśmy się zeszłego roku w kąpielach — ja i mama! Czy nie pamiętasz ojczulku?

— Co?!... ten, który ci stale asystował i cholewki do ciebie smalił? Więc to on?!

— Ależ tatku! proszę cię!

— Już dobrze! teraz rozumiem skromność tego pana... Zostaw nas samych!

Gdy tylko zamknęły się drzwi za zdziwioną i wystraszoną Etelką, przystąpił restaurator do oniemiałego pana Czakó.

— Więc to jegomość takie ziółko?! To pan, żonaty, ojciec czworga zgłodniałych dzieci, nie masz nic lepszego do roboty, tylko zawracać głowy porządnym pannom?! To dlatego deklamował mi pan: »u mnie coś podobnego dziać się nie może!« A stary łotrze! Komedyanckie nasienie! błaźnie, marsz z mego domu!

— Idę, bo przez usta pana przemawia »delirium tremens« w najwyższem stadyum!

I pan Czakó, drżąc z gniewu i hamowanej złości, wyszedł czemprędzej.

— Łajdak! — zagrzmiał jeszcze za nim Finom, tłukąc z całej siły o stół pięścią.

— Ależ tatku! — przerwała mu zapłakana Etelka. — Jak można coś podobnego? Przecież to był taki przyjemny człowiek.

— A może ty jeszcze pisywałaś sobie z nim listy? Co?

— Nie! bo on nie wiedział naszego adresu, gdyż właśnie wtedy... przyszedł twój telegram i musiałyśmy wyjechać!..

— Chwała Bogu! Ale jak mogłyście się zaprzyjaźniać z takim urwipołciem?! Zwyczajny dyrektor prowincyonalnej zbieraniny i do tego ojciec rodziny!

— Za pozwoleniem łaskawy panie restauratorze! — zajęczał jakiś głos grobowy. — Dyrektorem wzmiankowanej prowincyonalnej zbieraniny i do tego ojcem zacnej, choć głodnej rodziny ja jestem, ale proszę mi wierzyć, że rozporządzam wyłącznie siłami pierwszorzędnemi.

W progu stanęła wychudła postać starego aktora.

— Ha! Do stu tysięcy dyabłów! Więc pan?

— Tiwadar Gyönyörfi, do usług.

— Więc któż był ten drugi?.

— Tatku złoty! To był przecież pan Ernest Czakó!

— Co za Czakó?

— Dyrektor szkoły. Mamcia dowiadywała się o niego.

— No! coś podobnego! To on zapewne przyszedł w sprawie posady w szkole dla »wyższych córek«? Przyprowadźcie mi go tu natychmiast! Gyönyörfi! Gdy mi go pan sprowadzisz, nie potrzebujesz pan płacić ani grosza za stodołę!

Po upływie nie całej pół godziny powrócił rzeczywiście Gyönyörfi, wiodąc w tryumfie pana Czakó.

— Panie dyrektorze! Szanowny panie dyrektorze! — wołał Finom — proszę tysiąckrotnie o przebaczenie za mą idyotyczną pomyłkę! Proszę, zechciej mi pan zrobić przyjemność i usiądź na chwilę. Etelka, przynieś najlepszego tokaja, jaki jest w naszym interesie!

Ernest wahał się chwilę, ale ostatecznie musiał ustąpić, bo ofiarowane mu wino podawały śliczne rączęta już od roku ukochanej dzieweczki. Zauważył przytem, że rubaszny restaurator, którego przed chwilą byłby z gustem obił kijem, ma dość sympatyczną minę i jak się zdaje — wcale nie będzie się wzdragał zostać jego teściem.

Tak też było w istocie. Przy lampce tokaju rozmowa toczyła się szybko i młody kandydat na dyrektora szkoły dla »wyższych córek« dowiedział się, że pan Finom nietylko postara się, aby go nie minęła upragniona posada, ale chętnie odda mu przytem swą uroczą jedynaczkę.

LAJOSZ BIRÓ.

Ernest [illegible] się [illegible] siał ustąpić, bo obiecywane mu wino [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]. Zauważył przytem, że rubaszny restaurator, którego przed chwilą byłby z gniewu zbił kijem, jest teraz sympatycznym mu i jak się zdaje — wcale nie będzie się wzdragał kosztu jego [illegible] [illegible].

Tak też było w istocie. Przy lampce tokaju rozmowa toczyła się szybko i młody kandydat na dyrektora szkoły dla wyższych córek dowiedział się, że pan [illegible] nietylko postara się, aby go nie minęła upragniona posada, ale chętnie odda mu [illegible] swą [illegible] jedynaczkę.

— Sprzeniewierzyłem urzędowe pieniądze...

Kobieta zbladła.

— Mam najwyżej cztery lub pięć dni czasu do ucieczki. Ucieknę.

Żona wyjąknęła wreszcie:

— Może jest jeszcze jaki ratunek... Mój ojciec...

— Niemożliwe. Suma olbrzymia, przeszło sto tysięcy. Jeszcze dziś w nocy wyjeżdżam. Do Hamburga... do Ameryki.

— Jadę z tobą.

Nagle twarz jego się rozjaśniła, a w sercu poczuł pewną ulgę.

— Pozostało mi nieco pieniędzy — mówił. — Jakżeż to będzie dobrze rozpocząć tam nowe życie... we dwoje...

— We troje!

Mężczyzna spojrzał zdziwiony na żonę.

— Przecież dziecko! — powiedziała.

— Nie myślisz go chyba brać w taką drogę. Czteromiesięczne dziecko nie wytrzyma tak długiej podróży. Lepiej pozostawić je u matki.

— W takim razie i ja nie jadę! — odrzekła zimno.

Mężczyzna począł ją błagać:

— Moja słodka, najdroższa, jedyna!...

— Nie! stanowczo nie!

Wreszcie musiał się zgodzić. Wieczorem pojechali na dworzec. Ona z dzieckiem na ręku. Była późna jesień, mgła rozwlokła się po ulicach, a małe kaszlało bez ustanku.

Nie odważyli się wejść do poczekalni. Wślizgnęli się na stacyę tuż przed nadejściem pociągu i szybko wdrapali się do wagonu. Przedział, do którego wsiedli, mokry był od mgły i pełen swądu i dymu z cygar. Wsiadano i wysiadano; wreszcie zostali sami.

Kobieta zajęła się dzieckiem, mężczyzna zaś wyglądał przez okno i drżał, ilekroć do jego uszu doszedł odgłos kroków. A pociąg przedzierał się gwałtownie przez noc ciemną i mglistą.

Wagonów nie opalono widocznie, zimno więc było coraz bardziej. Przez każdą szczelinę wdzierał się lodowaty oddech potwornej nocy, a uciekająca para drżała na całem ciele. Dziecko nie przestawało kaszleć.

Dniało już. Przemarznięci, bladzi i zdenerwowani spoglądali na siebie.

— Dziecko ma febrę! — szepnęła.

Na czole męża ukazały się ponure zmarszczki.

— Gdyby można gdzieś lekarza napotkać!— westchnęła.

— Idyotka! Dziecku nic nie będzie. Daj mu piersi!

Ogień wystąpił na twarzyczkę dziecka. Gorączka i febra zmagały drobne ciałko. Malutkie wargi nie chciały się rozewrzeć. Powietrze nie dochodziło do płuc.

— Pójdę szukać lekarza! — zawołała kobieta ze łzami w oczach.

Mężczyzna pochwycił ją brutalnie za ramię.

— Ani się rusz! Chcesz mnie zdradzić? Chcesz ich na ślad naprowadzić?

— Ależ dziecko jest chore! Czy nie widzisz, jak cierpi?...

— Po co je brałaś ze sobą? Sama chciałaś tego!

Zamilkła. Tylko ciężko falująca pierś i łzy, co spływały z oczu, zdradzały jej boleść. Na jednej stacyi pociąg zatrzymał się dłużej. Pasaże-

rowie pozasiadali do stołów. Mężczyzna poszedł również do restauracyjnej sali, kobieta nie spuszczała oka z dziecka. Zasnęło wreszcie, gdy pociąg ruszył, unosząc ich coraz bliżej celu podróży.

— Śpi... — rzekła kobieta.

— No widzisz!

Otuliła troskliwie maleństwo i huśtała je ostrożnie. Mąż przymknął znużone oczy.

Obudził go nagle przeraźliwy krzyk żony:

— Umarło! umarło! już nieżywe!...

Mężczyzna wlepił oczy w twarzyczkę dziecka. Rzeczywiście: dziecko nie żyło. Ktoś ciekawy podszedł ku ich przedziałowi, przytknął więc zawodzącej kobiecie ręką usta i syknął:

— Na miłość boską! Cicho już!

Kobieta jęknęła, a on zgrzytnął zębami.

— Do stu piorunów! cicho!

I wybiegł, aby uspokoić towarzyszów podróży, których wywabił na kurytarz płacz nieszczęśliwej.

— Nic, nic się nie stało! — bąknął. — Biedna chora histeryczka!

Powrócił do żony, nie mogącej powstrzymać łkania.

— Czy nie przestaniesz? Kto ci kazał brać ze sobą tego bękarta?

Kobieta nie odpowiedziała ani słowa, tylko przycisnęła do piersi swój drogi ciężar.

— Nikt nie powinien się dowiedzieć, że umarło. Musielibyśmy je pogrzebać; przytem oględziny zwłok, policya, paszporty — i zaaresztowanoby nas na ostatku. Wieź zatem dziecko tak, jak dotychczas.

Znowu stacya. Wsiadają i wysiadają. Mąż rozkazuje dalej półgłosem:

— Przykryj dziecku twarz i zajmij się nim tak, jakby żyło!

Usłuchała. Przemawiała do dziecka najczulszemi słowami, a nawet udawała, że je karmi.

Po długich straszliwych godzinach są wreszcie w Hamburgu.

— Z dzieckiem nie możemy wysiadać. Należy je ukryć!

Spojrzała na niego.

— Prędko! włóż do tego kuferka!

Złożyła ręce jak do modlitwy.

— Tak musi być! — powiedział szorstko.

Pociąg zwalniał. Za chwilę wjedzie już do

hali. Pasażerowie, co niecierpliwsi powychodzili na kurytarze.

Otworzył prędko kuferek i wyciągnął ręce po dziecko, ale matka trzymała je konwulsyjnie w objęciach.

— Daj! — syknął, zamierzając się zaciśniętą pięścią. Jej ręce opadły. Porwał zimne zwłoki maleństwa, włożył do kufra i zamknął. W tej chwili pociąg stanął, a posługacze wdarli się do wagonów. Jeden z nich pochwycił ów kufer. Kobieta wyciągnęła bezwiednie ręce ku niemu, ale mąż pociągnął ją za sobą.

Wsiedli do powozu.

— Gdzie kufer? — szepnęła.

— Na koźle, obok woźnicy.

Niezadługo są już nad brzegiem; udają się wprost na pokład i pytają zaraz o swoją kajutę.

— Nie zapomnij o kufrze!... — szepcze znowu kobieta.

— Już go niosą.

Rzeczywiście kuferek ustawiono w ich kajucie. Kobieta osunęła się na ziemię obok niego.

— Klucz! Gdzie klucz?

— Nie, jeszcze nie! Mógłby ktoś nadejść i zobaczyć.

— Tylko na chwilkę.

— Przed nocą nie!

Wyszedł na górę i rozglądał się po pokładzie, upatrując jakiegoś samotnego miejsca. Przez ten czas kobieta nie rusza się z podłogi i obejmuje ramionami kuferek.

Parowiec już ruszał. Komenda, skrzyp belek, brzęk łańcuchów, plusk wody i okręt począł się wysuwać z portu.

Mężczyzna zeszedł do kajuty.

— Chodź jeść.

— Daj klucz!

Potrząsnął głową i poszedł sam do jadalni.

Mijała godzina za godziną. Kobieta nie ruszała się z kajuty, mężczyzna chodził po pokładzie.

Wieczór. Jadalnia i salony opróżniły się zupełnie; pasażerowie udają się na spoczynek. Pokład ciemny i opuszczony.

Godzina dziewiąta.

Dziesiąta...

Jedenasta...

Zeszedł do kajuty.

— Wstań! teraz możemy je pogrzebać.

Spojrzała na męża, jakby nie mogąc zrozumieć, o czem mówi.

— Upatrzyłem miejsce, skąd możemy niepostrzeżenie wrzucić je do morza.

Otworzył kufer. Wśród ubrań leżało zimne ciałko dziecka.

Dzikie łkanie wstrząsnęło piersią kobiety. Namiętnie przycisnęła do siebie dziecinę.

— Prędko! prędko! — naglił mąż.

Ani się ruszyła.

— Zostań więc! sam to załatwię!

— Zostaw! — błaga kobieta.

Podniosła się wreszcie i poczęła się wspinać po schodach. Na pokładzie ciemno zupełnie. Mąż prowadzi ją za rękę, a ona tuli nieżywe dziecko coraz namiętniej i pozwala wlec się ku baryerze.

— Jesteśmy na miejscu! — szepnął.

Z dołu dochodzi rytmiczne stękanie maszyn i szum rozpruwanych przez pierś okrętu fal morskich. Kobieta klęka:

— Nie rób tego! nie rób!

Mężczyzna jest wściekły.

— Chcesz więc, żeby nas schwytano?

Ręce jej objęły dziecko, niby kleszcze żela-

zne i mężczyzna musi użyć całej swej przewagi fizycznej, aby jej wydrzeć małe zwłoki.

Udało mu się nareszcie. Za parę sekund do ich uszu doszedł słaby plusk wody.

Kobieta upadła zemdlona — mężczyzna odetchnął.

zne i mężczyzna musi użyć całej swej prze-
wagi fizycznej, aby jej wydrzeć małe zwłoki.

Udało mu się nareszcie. Za parę sekund do ich uszu doszedł słaby plusk wody.

Kobieta upadła zemdlona — mężczyzna odetchnął.

Dzikie łkanie wstrząsnęło piersią kobiety. Namiętnie przyciskała do siebie dziecinę.

— Prędko! prędko! — nagle rzekł.

Ani się ruszyła.

— Zostań więc! sam to załatwię!

— Zostaw! — błaga kobieta.

Podniosła się wreszcie i poczęła się wspinać po schodach. Na pokładzie ciemno zupełnie. Mąż pochwycił ją za rękę, a ona już odżywcze dziecko ciągle trzymając i posuwała więc się ku burcie.

— Zostaliśmy na miejscu! — szepnął.

Z dołu dochodzi rytmiczne stukanie maszyn i szum rozprutych przez pierś okrętu fal spienionych. Kobieta klęka:

— Nie rób tego! nie rób!

Mężczyzna jest wściekły.

— Chcesz więc, żeby nas schwytano?

Rzuca jej swoje dziecko, niby kleszcze żela-

SZANDOR BRODY.

AUTOMOBIL.

I.

U spodu drzwi była wąziutka szparka, przez którą zaglądał zwykle, czy żona się już obudziła. Codziennie rano klękał przy progu jej sypialni i sprawdzał, czy w pokoju jest już jasno, czy żaluzye u okien już podniesione, to zwykła bowiem pani robić sama. Wtedy zaczynał się jej dzień i wtedy wolno było mężowi wejść do sypialni.

Naprzód odbywał się pocałunek małżeński; pozwalała całować się w czoło i w rękę. Potem przychodził młody lekarz, który w obecności męża masował codziennie panią bankierową, co miało zapobiegać lekkiej neurastenii, na jaką się skarżyła. Następnie spożywała w łóżku śniadanie, składające się z czterech surowych jaj, które wypijała regularnie, aby uzyskać pięć kilogramów, brakujących, podług jej zapewnień, do właściwej wagi.

Po takiem śniadaniu brała kąpiel, uczyła się pół godziny języka greckiego, a wreszcie za-

czynała się ubierać przy pomocy dwóch pokojówek i, naturalnie, w obecności męża, który opowiadał nowości dnia. O wpół do pierwszej była tualeta zawsze skończona, a przed bramę wspaniałego ich pałacu zajeżdżał duży automobil, barwy pomarańczowej. Odwoziła nim męża do kancelaryi, gdzie miał kilka aktów do podpisania; przez ten czas gdy on bawił w biurze, pani załatwiała parę sprawunków na mieście i szybko wracała po małżonka, aby we dwójkę udać się na wzgórza budzińskie, oboje bowiem ubóstwiali przyrodę i świeże powietrze.

W automobilu, zwłaszcza jeżeli się szybko jedzie, nie można rozmawiać. Milczeli przeto. Jednostajny turkot samochodu przerywał od czasu do czasu szofer, ostrzegając zapomocą trąbki dzieci robotników, bawiące się na gościńcu i ludzi, tłukących na szosie kamienie. Niekiedy zatrzymywali się przy jakim ładniejszym lasku i urządzali sobie małą wycieczkę na piechotę. Tu można sobie było na to pozwolić, gdyż nie było nikogo, komu mogłoby się wydać śmiesznem, że mąż sięgał swej żonie wzrostem ledwie po ramiona. Wcale nie stary, mały, żywy i komicznie łysy człowieczek. Na

przodzie lśniącej, gołej czaszki miał małą kępkę kruczo-czarnych włosów, robiących wrażenie pendzla, a potem rozciągała się aż po kark łysina, podobna do dyni. Jednem słowem wyglądał na takiego męża, któremu żona nie może być wierna.

A jednak działo się zupełnie inaczej. Bankier utrzymywał kochanki, aby nie dać upaść swej powadze wśród towarzystwa i aby wyrównać dziwne stosunki swego małżeńskiego pożycia. Natomiast ona żyła w zupełnem prawie odosobnieniu: zakochana w sobie samej, ubóstwiała formalnie swe piękne ciało i szanowała je do tego stopnia, że spała nawet w rękawiczkach. Poza tem nie obchodziło jej nic na świecie, a mimo to, skoro ktoś obcy, choćby największy purytanin, ujrzał ją przy boku męża, musiał sobie pomyśleć: »Ta może robić, co się jej podoba, no i pewno, że robi, co jej się podoba!« Tak się nie działo.

Była tylko piękna. Jej cudownie rzeźbiona głowa uginała się pod ciężarem przepysznych, ciemno-kasztanowych włosów, a nieco zaróżowiona cera twarzy przechodziła już na szyi w dziwnie biały ton karnacyi, jaką mało która

piękność może się poszczycić. Zwłaszcza jej ramiona niezwykle kształtnie zarysowane, a nigdy prawie niezakryte, miały dla mężczyzn jakiś nadzwyczajny urok. Nie znalazł się ani jeden, który spojrzawszy raz na nie, nie poddałby się mimowoli pewnym myślom fantastycznym. Poprostu cisnęli się panowie, jak ćmy do mleczno-białej kuli lampy elektrycznej, a ona kokietowała, ciągnęła ich ku sobie i nie troszczyła się wcale o to, co się z nimi stanie. Jaśniała i świeciła li tylko dla siebie... Tego nie chciano zrozumieć i mówiono sobie na ucho:

— Nie ma temperamentu!

A panie dodawały:

— Chora kobieta...

Nie była ona jednak chora, tylko miała swoje silne przekonania, które uformowała w sobie w pewne tezy niewzruszone:

»Mam się wobec mężczyzny poniżyć? Cóż on mi dać może? co mi dać potrafi?

»Miłość wpływa na brak apetytu, wytwarza bezsenność, a zresztą, kto w dzisiejszych czasach kocha?

»Gdyby istniała czysta miłość?

»Ostatecznie nie mogłabym tego popełnić, na-

wet gdybym chciała. W mojej rodzinie nic podobnego nie zaszło, a do takich rzeczy trzeba być odpowiednio wychowanym od urodzenia«.

Pozatem w rozmowie była nadzwyczaj swobodna. Z mężczyznami rozmawiała, jak z kobietami, a z paniami, jak z mężczyznami. Miało to ten skutek, iż niejeden kawaler, który widział ją po raz pierwszy, uśmiechał się zarozumiale i mówił sobie w duchu:

— No, wszystko w porządku...

Jednakże za pierwszem niedyskretnem słówkiem lub poruszeniem — znikał. Nie potrzebowała kazać wyrzucić go za drzwi, wystarczyło jedno spojrzenie zimnej, jak lód, Kleopatry, aby gentleman zniknął z horyzontu... Wiedziano powszechnie, że wszelkie zabiegi są bezskuteczne, ale mimo to atak nie ustawał. Starzy ekscelencye, tajni radcy, dyplomaci i ministrowie, a nawet poeci i oficerzy od huzarów adorowali ją bez ustanku.

Tymczasem łysa czaszka jej męża zniżała się co dnia do szparki przy progu jej sypialni; bankier podpatrywał regularnie, czy rolety już podciągnięte, czy można podać cztery surowe jaja, które zwykł był sam jej przynosić i nadtłukiwać.

II.

Mały człowieczek był drugim jej mężem. Pierwszym był adwokat. Ten poznał ją w jednem z miast prowincyonalnych, a wspólni krewni postarali się o to, aby ich wyswatać. Ponieważ zaś stosunki ich finansowe odpowiadały sobie wzajemnie, to znaczy długi adwokata nie wynosiły więcej, niż połowa jej posagu—przeto rzecz cała była w porządku.

Wzięli ślub, pojechali w podróż poślubną, urządzili sobie mieszkanie i rozpoczęło się najzwyklejsze w świecie życie. Dzieci nie było; młoda pani mogła przeto uczęszczać dowoli na bale i zabawy. Raz zachorowała, zbrzydła, potem znów wyładniała, a wreszcie w drugim roku swego małżeńskiego pożycia spotkała się w Gastein z małym człowieczkiem. Często byli sam na sam ze sobą, robili wycieczki w góry, jedli razem, a po powrocie do Pesztu powtarzało się to ciągle. Adwokat ze wspaniałym zarostem — należał on rzeczywiście do najpiękniejszych i najłagodniejszych brodaczy — został niezadługo syndykiem olbrzymiego banku, którego głównym akcyonaryuszem i dyrektorem

był mały łysek. Wszyscy wierzyli w to święcie, że piękna pani była kochanką bankiera, to też nic dziwnego, że panie z »towarzystwa«, grające na giełdzie, prosiły ją o »typy«, jakie niewątpliwie dawał jej w sielankowych godzinach.

Młodemu adwokatowi zwróciła matka uwagę na ten dziwny stosunek, począł więc i on patrzeć niedowierzająco. Raz udało mu się podsłuchać rozmowę, jaką prowadził dyrektor z jego żoną:

— Ja oszaleję, jeżeli tak nadal będzie!

— Więc oszalej pan!

— Wszyscy myślą o nas Bóg wie co, a tymczasem ja wściekam się poprostu. Rujnuję się moralnie i materyalnie i nie widzę możliwości wybrnięcia z tej dziwnej sytuacyi. Pozwól pani przynajmniej ująć swą rączkę! I tego mi nie wolno?

— Nie dotykaj mnie pan swemi szczurzemi łapami!

— Więc nie zechce mnie pani nigdy pokochać?

— Właśnie! Ha! ha! ha!

— Kogóż pani kocha? Nikogo?

— W każdym razie mojego męża więcej, niż pana.

— Cóż się ze mną stanie? Co?

— Ożeń się pan ze mną!

Nastała cisza, adwokat wstrzymał oddech, a tymczasem bankier mówił zniżonym głosem:

— Pani będzie moją żoną incognito ze wszelkiemi moralnemi ustępstwami z mojej strony. Jednem z ważniejszych będzie to, iż nie wymagam, aby pani rozwiodła się ze swym mężem... A co?

— Powiedziałam już raz panu, że jeżeli go wyrzucę, będzie to połączone z olbrzymim skandalem. Albo żenisz się pan ze mną, albo za drzwi! Jestem kobietą uczciwą i mam już dosyć pozorów — zresztą, chcę być w porządku z samą sobą!

— Jakżeż to? Więc mam się teraz rozwodzić z żoną po dwudziestoczteroletniem szczęśliwem pożyciu? Tego pani żąda odemnie? Toż ona rozchorowałaby się z pewnością, a ja nie przeżyłbym tego...

— Wtedy szłabym za pańskim karawanem...

Adwokat odetchnął. A więc nie stało się jeszcze nic złego! Po krótkim namyśle wszedł do pokoju z rewolwerem i stanął przy drzwiach, mierząc oboje groźnem spojrzeniem. Bankier

zbladł i trząsł się, jak osika, piękna pani zachowała jednak całkowity spokój. Podeszła ku mężowi, położyła mu rękę na ramieniu i rzekła:

— Wychodzę za mąż za niego, bo on mi lepiej konweniuje. Bądź przeto tak dobry i idź spać do hotelu.

III.

Pierwszym mężczyzną, z którym znała się piękna pani, nie był ów adwokat, lecz pewien młody technik. Zaręczyła się z nim, mając lat szesnaście i zdołała przez cztery lata podtrzymać ten związek. Student inżynieryi był od niej niewiele starszym, musiał więc starać się wszelkiemi siłami, aby jak najprędzej ukończyć nauki, dostać posadę i ożenić się, bo dziewczyna zaczynała być coraz bardziej niecierpliwą. Nudziło się jej w małem miasteczku, gdzie mieszkali, znudziły jej się woły, hodowane przez ojca, znudziło jej się wreszcie panieństwo — chciałaby była już chętnie zobaczyć swoją wyprawę w swem własnem mieszkaniu.

Czy się kochali? Zapewne. Całowali się często i wiele, pisywali do siebie dużo listów,

a dziewczyna była pewna, że tego młodego człowieka lubi więcej niż braci, a nawet i matkę. Serce jej biło zawsze mocniej, gdy przychodził, a owe wierszyki, które jej wypisywał w pamiętniku i kolorowe inicyały, jakimi je zaopatrywał, uważała za przepiękne!

Kładła się wcześnie do łóżka, aby módz myśleć o swym narzeczonym, a gdy o nim marzyła, całe jej ciało stawało się gorącem... drżało formalnie...

Technik był pracowitym chłopcem i szybko posuwał się po swej drodze, ale, niestety, był dopiero w jej połowie, gdy dziewczyna miała już lat dwadzieścia i, zniecierpliwiona w najwyższym stopniu, przyjechała do Zurychu, aby kontrolować studya swego narzeczonego. Była niezadowolona.

— Zanim ty skończysz nauki, ja już będę brzydka!... I kiedyż właściwie dostaniesz jaką posadę?

Pieścili się tu jednak tak samo, jak niegdyś w domu i odbywali wspólne przechadzki po górach. Razu pewnego wybrali się na taką przechadzkę, a gdy oniemieli z podziwu spoglądali na czarowną kotlinę, przytuleni do sie-

bie, usłyszeli nagle olbrzymi szum za sobą i zobaczyli jakieś dziwaczne monstrum, wyłaniające się w pędzie z tumanów kurzawy... Wysoki na piętro automobil, o sile przynajmniej 60 koni, sunął wprost ku nim. Dziewczyna widziała coś podobnego po raz pierwszy w życiu i stała na skraju drogi, wlepiwszy oczy pełne podziwu w tego huczącego potwora.

Samochód zwolnił nieco biegu, a skoro przejeżdżał koło młodej pary, dziewczyna mogła przyjrzeć się dokładnie nietylko siedzącej w nim pani, lecz także jej toalecie. Głównie zajął ją welon, jaki ta dama miała związany pod brodą, wielkie okulary, umocowane do czapeczki pod woalem i wspaniałe boa ze srebrzystych lisów, okręcone koło szyi. Mężczyzna, siedzący obok pani, miał takie same okulary i ubrany był w czarne, lśniące futro z wywróconymi na wierzch włosami.

Młodej dziewczynie wydawali się ci ludzie jakiemiś niezwykłemi istotami, w każdym razie o całe niebo wyższemi od tych, jakie znała dotychczas... Spojrzała na swego narzeczonego. Jakżeż małym był on wobec tamtych dwojga, jakżeż znikomym, tak prawie niczem...

— Tym opłaci się żyć — powiedziała wreszcie, gdy automobil przejechał.

Patrzyła za nim długo, dopokąd nie zniknął jej z oczu.

I wtedy odezwało się w niej dziwne pragnienie... Zachciała być taką damą, jak ta, która rozpierała się w tym olbrzymim samochodzie, zapragnęła tak samo módz pędzić wśród kurzawy między wlokącymi się po drodze ludziskami!

— Zobaczysz! Będę miała, bo chcę mieć! — mówiła powoli, budząc się z zamyślenia.

Od tego czasu pocałunki jej stały się chłodne, a gdy po tygodniu powróciła do domu, posłała technikowi jego listy miłosne i zażądała zwrotu swoich... Kocha go, ale czekać nie może na niego. Ojciec się niecierpliwi i ona również. Przy tem wszystkiem miłość jej nie jest tak silna, aby miała jej nie przeboleć.

Młody człowiek nie odpowiedział ani słowa — dziewczę wyszło za adwokata i zbliżało się szybkim krokiem... ku automobilowi.

IV.

Wielki żółty samochód stał już przed domem.

Nowy automobil i nowy szofer: obaj sprowadzeni z włoskiej fabryki »Fiat lux« obaj wypróbowani.

Bankier sam dopilnował budowy automobilu i zaopatrzył go we wszystkie nowe wynalazki, zabezpieczające przed możliwością katastrofy. Szofer był ukończonym inżynierem maszynowym, z pochodzenia Węgier.

Przybył tego samego dnia, gdy miano robić wielką wycieczkę z Budapesztu do Tyrolu, gdzie chciano przepędzić jakiś czas w jednej z mniejszych wiosek górskich; na później planowano kilka podróży do Włoch. Młody inżynier przedstawił się krótko, bąknął swoje nazwisko — pan podał mu rękę, pani zaś skinęła mu głową, ale stosownie do swych zwyczajów w obchodzeniu się z podwładnymi, nie spojrzała nawet na niego.

Spakowali się i pojechali przez równiny wzgórza, a wieczór przepędzili już w obcym

kraju. Zmęczeni udali się dość wcześnie na spoczynek, aby rano rychło świt ruszyć w dalszą drogę.

Przy zimnym wietrzyku alpejskiego poranka zawiązywała pani swój welon — i naraz tylko tak, mimochodem, przypomniało jej się, jak po raz pierwszy zobaczyła automobil. Uśmiech przebiegł po jej wargach. Cóż to bowiem był za prymitywny wehikuł w porównaniu z tą wspaniałą maszyną?! Toć to prawdziwy zamek mosiężny, wyścielony miękkiemi poduszkami, szoferem zaś jest elegancki pan, który pobiera taką gażę, jak sekretarz ministeryalny.

Spojrzała przelotnie na niego i znów się uśmiechnęła. Zdawało jej się bowiem, że jest do kogoś podobnym — czy nie do technika, pierwszego jej narzeczonego, o którym tylko tyle słyszała, że gdzieś na obczyźnie zmarnował się zupełnie.

Szofer nie mógł znieść jej wzroku, zwiesił głowę i stał przed nią zaczerwieniony.

— Czy to pan jest, Emeryku? Rzeczywiście to Emeryk! Skąd pan się tu wziął?

— Fabryka mnie posłała. Nie wiedziałem... gdyż nie byłbym się nigdy odważył.

— Nic nie szkodzi. Główna rzecz, aby pan wprawnie kierował motorem.

Nie podawszy mu ręki, wsiadła do wozu, a gdy jej mąż zbliżył się ku automobilowi, powiedziała:

— Stary znajomy! Pochodzi z tego samego miasteczka, co ja, mieszkaliśmy w sąsiedztwie. Był zdolnym technikiem i bardzo zacnym człowiekiem.

W ten sposób załatwiła się ze swą dawną miłością. Wszystko było zakończone. Mimo to chętnie rozmawiała z nim, ilekroć nadarzyła się tylko sposobność.

— Czy nie postarzałam się? Nie jestem brzydsza? — zapytała go raz.

Inżynier nic nie odpowiedział, lecz tak jakoś dziwnie spojrzał na nią, że w jego wzroku wyczytała sama bezgraniczny podziw i palący komplement...

— Pan się także nie zmienił, — powiedziała raz znowu — tylko zmężniał pan znacznie! Jak się panu wogóle powodzi?

Młody człowiek wzruszył ramionami i to była cała jego odpowiedź.

— Przecież chyba ja nie zaszkodziłam panu w jego karyerze?

— Nie — odpowiedział maszynista sucho.

Przypomnienia gorących pocałunków, uścisków i przyrzeczeń nie mąciły bynajmniej spokoju pięknej pani — uważała je za nieistniejące nigdy.

Jednakowoż raz, gdy bankier pozostał w domu, a pani pędziła automobilem sam na sam z Emerykiem, stało się z nią coś dziwnego. Na tle przepięknego alpejskiego wieczoru, który wyglądał jak dekoracye wielkiej opery, pani doznała jakiegoś uczucia, jak w owych czasach dziewczęcych, gdy kładła się wczas do łóżka, aby myśleć o swej miłości. Zapomniane już oddawna wzruszenia powróciły gorącą falą z powrotem.

Zwolniła nieco biegu, aby módz rozmawiać z szoferem:

— Niema nic wspanialszego, jak natura i świeże powietrze; wie pan, ubóstwiam drzewa, góry i wieśniaków. U tych można znaleźć nieraz wspaniałe staroniemieckie meble, ale niestety znają oni już ich wartość. A jak oni cie-

kawie pozdrawiają człowieka: »Lassens ihnen Zeit!« Nie jedźmy tak prędko! Poco?

— Ściemnia się.

— Czy pan się boi?

— Ja?

— Jednakowoż wogóle; jest pan dość tchórzliwej natury.

— Z czego pani to wnosi?

— Bo... pan się uspokoił. Co się stało potem? Ożeniłeś się?

— Nie.

Umilkli. Pani zaczęła myśleć. O tem, czy technik kochał ją później jeszcze i czy dziś pamięta? dlaczego nie piął się wyżej?

— Czemu nie wstąpi pan do jakiego urzędu? Do tego czasu mógłby pan był awansować na rządowego nadinżyniera. Pomówię z moim mężem.

— Dziękuję. Pozostanę już przy samochodzie, bo spodobało mi się to zajęcie, a zresztą drażni mnie kłamliwa sytuacya półpańska, bo panowie nie są również swobodnymi. Wolę być po prostu służącym. I trochę zresztą podupadłem.

— Z powodu?

— Z powodu tego! — odrzekł maszynista surowo i bez żadnego sentymentalizmu.

Pani popatrzyła na niego, jakby obrażona, lecz po chwili zaczęła szukać jego ręki, patrząc mu prosto w oczy.

— Przypominam sobie chętnie pana, byłeś bowiem zacnym chłopcem i dlatego przebaczam ci!

Podała mu rękę, uśmiechając się przymilająco, a młody człowiek podniósł do ust drobną jej dłoń i rozpogodził się zupełnie. Powrócili do domu szczęśliwie.

W Tyrolu lał deszcz bezustanku, a przy takiej pogodzie bankier stale pozostawał w domu, a młodzi wyjeżdżali we dwójkę do Cortina di Ampezzo lub do Belluno. Siadywali zawsze obok siebie, ale sztywni i obojętni zdawali się nie myśleć nawet o sobie. Czasami tłumaczyła mu swoje teorye:

— Niewierność między kobiecymi grzechami należy stawiać na tem samem miejscu, co morderstwo między męskimi!

— Można kokietować lub być sentymentalną do nieskończoności, chociaż to jest okropnie głupie, ale — nie da się kochać poważnie i prawdziwie!

Humor jej był rozmaity. Raz była zimna, raz

znowu miżdżyła się do niego bez najmniejszej żenady; a czasami zachowywała się tak kokieteryjnie, że inżynier wypadał po prostu ze swego biernego oporu, lecz za najmniejszym jego manewrem, stawała się niezwykle poważną i dawała do zrozumienia, iż chociaż męża swego nie cierpi, to jednak nie potrafiłaby zgrzeszyć przeciwko niemu, tak bardzo bowiem ceni siebie.

— A jednak!... — powiedziała raz półżartem — gdybym została wdową...

Mówiła więc otwarcie.

V.

Po kilku takich wycieczkach pani uczuła się zmęczona i położyła się na trzy dni do łóżka. Jej mąż miał chęć przejechania się nieco po krętych drogach Alp, wybrał się przeto z szoferem na zapuszczoną drogę górską, wijącą się wśród skał i krzewów. Nagle maszyniście zadrżała ręka, hamulec odmówił posłuszeństwa, a samochód wpadł całym pędem na wystającą siklę... Na drugi dzień znaleziono bankiera i maszynistę — obu zabitych.

Sprowadzono z Toblach żandarmów, spisano protokół. Komendant posterunku, ogromny mą-

drala, chciał wmówić w sędziów i rzeczoznawców, którzy zjechali również na miejsce wypadku, że szofer wyskoczył z automobilu jeszcze przed katastrofą, ale skok był fałszywy... Prawdopodobnie mylił się gorliwy sługa sprawiedliwości.

Pani dowiedziawszy się o tem wybuchła spazmatycznym śmiechem. Posłano do Wiednia po psychiatrę. Ona tymczasem przez dwa dni nie kręciła sobie loków, nie piła czterech jaj surowych i śpiewająco zawodziła, głosząc dobre przymioty nieboszczyka, podobnie, jak to czynią chłopki węgierskie.

— Automobil sprzedać! nawet oba! natychmiast zażądała surowo.

Pozbyto się przeto samochodów, a młoda wdowa kazała kupić cztery rosyjskie podjezdki i postanowiła nie wychodzić więcej za mąż — chyba z miłości.

Tak więc zakończyła się historya z automobilem, a w jej umyśle zaczęła się coraz wyraźniej zarysowywać postać jakiegoś właściciela dóbr. Z tym będzie chodziła codzień na mszę do kościoła, a on potrafi już obchodzić się z nią ostro i surowo.

ISZTWAN GERGELY.

drała, chciał wmówić [illegible] rzeczoznawców, którzy sądzili również na miejscu wypadku, że szofer wyskoczył z automobilu jeszcze przed katastrofą, ale skok był fałszywy... Prawdopodobnie mylił się gorliwy sługa sprawiedliwości.

Pani dowiedziawszy się o tem wybuchła spazmatycznym śmiechem. Posłano do Wiednia po psychiatrę. Ona tymczasem przez dwa dni nie kręciła sobie loków, ale piła cztery jaja surowych i śpiewająco zawodziła, głosząc dobre przymioty nieboszczyka, podobnie, jak to czynią chłopki węgierskie.

— Automobil sprzedać! nawet [illegible] najpilniej zażądała surowo.

Pozbyto się przeto samochodów, a młoda wdowa kazała kupić cztery rosyjskie podjezdki i postanowiła nie wychodzić więcej za mąż — chyba z miłości.

Tak więc zakończyła się historya z automobilem, a w jej umyśle zaczęła się coraz wyraźniej naszkicowywać postać jakiegoś właściciela dóbr, z tym będzie chodziła codzień na mszę do kościoła, a on potrafi jak obchodzić się z nią ostro i surowo.

Miał właśnie zamiar zacząć się rozbierać, gdy wzrok jego padł na łóżko. Do poduszki przypięta była szpilkami karteczka, a na niej kilka słów, skreślonych pospiesznie ręką żony.

»Nawet jeżeli bardzo późno przyjdziesz do domu, to pofatyguj się do mnie natychmiast. Chcę z tobą pomówić o czemś bardzo ważnem«.

— A to co? — mruknął zdziwiony.

Opanowała go dziwna niechęć ku żonie, owo nerwowe rozdrażnienie lekko żyjących samolubów, kiedy znajdą się w jakiejś poważnej sytuacyi, wymagającej szybkiego zdecydowania się lub czynu.

— Co się mogło stać? Teraz jest już dwunasta, właściwie całkiem jeszcze nie tak późno, ale ona śpi już z pewnością, a ja jestem zmęczony i jutro o godzinie dziewiątej muszę być w sądzie powiatowym. Nie! to już lepiej zostawię tę historyę do jutra...

Szybko zdjął frak i kamizelkę. Jest śpiący i pójdzie do łóżka. Niestety, teraz dopiero spostrzegł, że jest naprawdę zdenerwowany i że

wszystkie jego myśli koncentrują się koło tego, o co właściwie żonie idzie.

— Nie, nie zasnę z pewnością! — skonstatował po chwili, rozczulając się powoli nad sobą. — Pójdę do niej!

Ubrał się i szedł do żony z przeświadczeniem, że jest ofiarą jej kaprysów. W pokoju sypialnym było ciemnawo.

— Aha! śpi! — pomyślał z pewną uciechą, — ale ja ją obudzę!

Chciał się widocznie zemścić na niej, iż poważyła się wpędzać go w poważne jakieś kwestye. Zapukał i wszedł.

W pokoju zajaśniało w tej chwili światło. Żona siedziała na nizkiej kanapce i powitała go głębokiem westchnieniem.

— Dobry wieczór moje dziecko! — zaczął spokojnie. — O cóż ci to chodzi? Słucham chętnie, chociaż jutro muszę już o dziewiątej być w sądzie. Ty mogłabyś się także już położyć, inaczej będziesz jutro znowu słaba. Północ już minęła.

Popatrzył na zegarek.

Żona spojrzała dziwnie na swego czterdziestoletniego męża, który umiał być tak wzglę-

dny i tak uprzedzająco grzeczny. Należał on do mężczyzn, którzy tylko w domu wyciągają zegarki.

— Jeżeli jutro będę słaba, — odpowiedziała — to ty i tak tego nie będziesz widział. Zresztą nie masz nic do czynienia o godzinie dziewiątej w sądzie; być może, iż jest tam coś do załatwienia o godzinie jedenastej, ale sam z pewnością nie pójdziesz, lecz poślesz dependenta, bo...

— Bardzo cię proszę!... Rzucił się i pociągnął nerwowo białą kamizelkę.

Na żonę nie wywarło to żadnego wrażenia.

— Jestem również przekonana — ciągła dalej — że jeszcze daleko do północy. Najwyżej jest może teraz jedenasta, a ty przesadziłeś, jak zwykle...

Żona miała racyę, nic przeto dziwnego, że on uczuł ogarniającą go rozpacz obrażonego.

— Proszę cię bardzo! W tej chwili przyniosę z kancelaryi mój notatnik i będziesz musiała sama przekonać się, jak rzeczy stoją, a co do godziny, to proszę: oto jest mój zegarek. Punkt jedenasta, a ponieważ — jak ci wiadomo — spóźnia się o trzy kwadranse, więc...

— Doprawdy? — zapytała, uśmiechając się ironicznie.

— Jeżeli zatem nie masz nic przeciwko temu jest teraz właśnie północ...

Latami całemi tak się u nich działo. Trwała tu walka będąca udziałem każdego małżeństwa, którego jedna lub obie połowy mają zwyczaj okłamywać się przy każdej sposobności z tą nienawiścią, jaka się rodzi zwykle zaraz po pierwszem przyłapaniu się na kłamstwie.

Jest to całkiem naturalne. Ten, kogo schwytano na kłamstwie, zaczyna nie mniej nienawidzieć, jak ten, kto go schwytał.

— Znam cię zanadto dobrze mój kochany, nie mam jednak zamiaru kłócić się dziś z tobą. Takie rzeczy możesz mówić przysięgłym, oni ciebie nie znają, mogą ci zatem uwierzyć.

Zaczęła nagle łkać spazmatycznie.

— Stało się wielkie, straszliwe nieszczęście, a spadło na nas oboje...

Męża, który gotował się w tej chwili do chytrego, adwokackiego grubijaństwa, opanowało nagłe wzruszenie. Ten wstrząsający, głęboki płacz i te tajemnicze słowa rozbroiły go zupełnie. Nie przeląkł się wszakże.

— O cóż idzie znowu? — zapytał nabrawszy energii.

— O naszego syna, o tego niedobrego chłopaka!... wyszlochała.

Mąż zerwał się z fotelika, aż się posadzka zatrzęsła.

— O chłopaka? Co się z nim stało? — zapytał i usiadł przy żonie.

— Ach! — jęknęła zalana łzami.

— Cokolwiek zaszło — mówił drżącym głosem, powiedz mi, proszę, byle krótko i zwięźle.

Pocałował ją czule. Od paru lat był to pierwszy pocałunek i dlatego może biedna kobieta odczuła go wszystkimi fibrami ciała. Zarzuciła mu ręce na szyję i płakała jeszcze bardziej.

— Czy jest chory? — zapytał po chwili i powstał, chcąc iść do pokoju syna.

— Zostań tu! jego niema w domu. Słyszałabym, gdyby przyszedł.

— Gdzież więc jest?

Wzruszyła ramionami.

— W teatrze. Tak przynajmniej mówił. Ale już mógłby dawno być w domu.

Przestała płakać.

On odetchnął i zapytał:

— Czy chłopak jest krnąbrny? Wyszedł bez pozwolenia?

— Cóż ja mam robić? przecież nie mogę mu zabronić. Powiedział, że musi chodzić do teatru, gdyż profesor od nich tego wymaga.

— To z pewnością jest kłamstwo i tego mu nie daruję, ale zdaje mi się, że to znów nic tak bardzo złego!

— Nie o to mi idzie — mówiła, ujmując męża za rękę, — ale zdaje mi się, że straciliśmy już nasze dziecko na zawsze. To przewrotna, niemoralna, zgubiona dusza, chociaż dopiero skończył lat siedmnaście.

— Co ty mówisz?

— Nasz biedny chłopiec ma już stosunek!

— Stosunek?

— Tak! napewne!

— Ależ z kim?

— Z jakąś uczenicą szkoły dramatycznej.

Mężczyzna zaczerwienił się i patrzył ciekawie na rozżaloną małżonkę. Wreszcie po chwili wyrzekł:

— Bękart! To dopiero! Stosunek... no! no!

Zaczął się śmiać, wkrótce jednak spoważniał.

Żona siedziała wciąż jeszcze z załamanemi rękoma.

— Cicho — szepnęła nagle. — Przyszedł do domu. Słyszę jego kroki. Rzeczywiście syn wszedł do swego pokoju. Uspokoiło się matczyne serce.

Ojciec zapukał w ścianę.

— Chodźno tu zaraz! krzyknął.

— Idę!

Matka chciała wyjść z pokoju, ale on ją zatrzymał.

— Nie mów z nim o tem, — prosiła ze spuszczonemi oczyma, — a jakaś anielska piękność okrasiła jej zgrabną postać.

On spoglądał z zapartym oddechem i pobożnem wzruszeniem, niby na obce czarujące zjawisko, na tę pełną bólu, dziewiczo piękną kobietę.

Synalek wszedł do pokoju. Zuchwały, pewny siebie.

— Całuję rączki mamusi, dobry wieczór papo! Nie śpicie jeszcze? — próbował nawiązać rozmowę.

Matka odwróciła się od niego, ojciec zaś zaczął mu się przyglądać. Nie gniewnie, raczej

z koleżeńską ciekawością. Chciał się doszukać jakiegoś nowego wyrazu w twarzy syna.

— Czemu się ojciec na mnie tak patrzy?

— Oglądam bękarta, który oberwie odemnie po uszach, jeżeli jeszcze raz przyjdzie do domu o tej godzinie, a na świadectwie przyniesie trzy »dostateczne«.

— Trzy dostateczne?! Alboż to co złego?

Zwrócił się do matki:

— Papa miał w ósmej klasie same dostateczne z wyjątkiem religii. Wiem to ze sprawozdania szkolnego.

— Ja cię oddam do zakładu poprawczego, zuchwały bębnie! Teraz marsz do łóżka, a jutro się rozmówimy!

— A zatem do zobączenia papo! — zawołał młodzieniec. Ucałował matce rękę i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

— Masz słuszność! — zauważył ojciec. — Chłopak jest zuchwały nad miarę.

Nagle żona położyła mu rękę pod nos. Zapach tanich perfum zwykłej dziewczyny, która zrabowała im dziecko, pozostał na czystej ręce matki.

— Czujesz?

— Tak; umyj sobie ręce! Gdzież jest umywalnia?

— Już od roku stoi w tamtym kącie.

Zawstydził się. Boże kochany! Jakżeż mało zajmował się swoją żoną! I teraz, gdy polewał uważnie wodą jej delikatną rękę, żałował i wrzucał sobie, że tyle czasu zmarnotrawił w sposób tak obrzydliwy.

— Masz nowy serwis?

— Odkąd!

Jakże niezwykłą zaczęła mu się nagle wydawać jego żona! Oczy miała wciąż spuszczone, mówiła cicho, prawie szeptem, a cała jej postać była uosobieniem skromności i oczekiwania... Czuła, co się dzieje w sercu męża, czuła rodzącą się w nim tęsknotę.

A on całował jej włosy, rozkoszując się dawno już zapomnianym ich zapachem.

— Włosy twoje zawsze jeszcze mają woń fijołków, — zauważył z uśmiechem.

Ona również uśmiechnęła się i szepnęła miłośnie.

— Ty jesteś zły człowiek. I dla mnie i dla swego syna. Biedny chłopiec!

Oczy jej zapełniły się łzami.

— Widzisz, ja teraz nie mam już nic, tylko jego jednego. Męża dawno już straciłam; bolało mnie to, ale wreszcie musiałam się pogodzić z rzeczywistością. Syn był mi wszystkiem, a teraz muszę patrzeć, jak brudne życie zabiera mi i to, co mi pozostało.

On ujął ją czule za rękę.

— To musiało przyjść wcześniej, czy później...

— Ale przecież nie tak prędko! Kiedy ty zakochałeś się po raz pierwszy?

— Ja? Jeszcze w ogródku dziecinnym — ale nie gniewaj się, proszę!...

Ach! ty niepoczciwcze!...

Obrzuciła go gorącem spojrzeniem.

Z wszystkiemi kobietami tak się dzieje. Kochają najbardziej mężów, którzy im najwięcej kłopotów przysporzyli. Lukę po utracie syna wyrówna zdobycie z powrotem męża. Bo dzieje się często, że poróżnieni rodzice godzą się wtedy, gdy utracą dziecko.

Możnaby to nazwać drugiemi godami weselnemi. Wprawdzie nie są one tak piękne, jak owe pierwsze, ale są — i to już jest dobrze.

ANDOR KOZMA.

— Widzisz, że [illegible] jego jednego. Męża dawno już straciłam, bolało mnie to, ale wreszcie musiałam się pogodzić z rzeczywistością. Syn był mi wszystkiem, a teraz muszę patrzeć, jak brudne życie zabiera mi i to, co mi pozostało.

On ujął ją czule za rękę.

— To musiało przyjść wcześniej, czy później...

— Ale przecież nie tak prędko! Kiedy ty zakochałeś się po raz pierwszy?

— Ja? Jeszcze w ogródku dziecięcym — ale nie gniewaj się, proszę!...

Ach! ty niepoczciwcze!...

Objęła go gorącem spojrzeniem.

Z wszystkiemi kobietami tak się dzieje. Kochają najbardziej tego, który im najwięcej kłopotów przysporzył. Lukę po stracie syna wyrówna zdobyciem z powrotem męża. Bo dzieje się często, że poróżnieni rodzice godzą się wtedy, gdy utracą dziecko.

Możnaby to nazwać drugiemi godami weselnemi. Wprawdzie nie są one tak piękne, jak owe pierwsze, ale są — i to już jest dobrze.

DZIECIĘ WSI.

Wanda wstała koło dziesiątej godziny, ubrała się w śliczny kostyum letni i roztworzywszy białą parasolkę, poszła na przechadzkę wzdłuż Dunaju.

Lubiła tę rzekę i jej miły chłodek. Przecież ta woda, która tu w tej chwili płynie, przed paru godzinami przepływała przez jej wieś rodzinną... Tam, niedaleko od brzegu, tam się urodziła. Tam pasła swoje gąski na łące zielonej. Ileż to razy musiała podwinąć swoją perkalikową spodniczynę i leźć w wodę, aby wypędzić z niej gęsiora, który ani rusz nie myślał opuszczać miłej kąpieli! W tej wiosce stoi do dziś dnia niewielka, słomą kryta chałupina, w której pędzi ostatnie dni stara jej matka, ślepa i żyjąca tylko z tego, co jej posyłała dobra córka. A ileż to razy jeździła z poczciwą matusią ogromną krypą na targ do Pesztu, gdzie woziły zawsze masło, jaja i owoce?

Boże! jakież to piękne czasy! A może nie były one tak piękne, tylko wspomnienia ich są takie miłe... Młodzi panowie przechodzili koło niej, a kiedy już byli bardzo blizko, szeptali:

— Servus, Wanda!

Wanda odpowiada na każde pozdrowienie kokieteryjnem mrugnięciem oka. Ale to wystarcza. Panowie powstrzymują się od uśmiechu, ale każdy z nich myśli jedno i to samo:

— Wstaje wczas, chce zrobić majątek...

A Wanda kieruje swe kroki ku wielkiej hali targowej, ale im bardziej zbliża się do celu, tem staje się ostrożniejsza. Jak kot koło waru, tak ona krąży dokoła wielkiego budynku. Ciekawa jest, chciałaby się dowiedzieć, co nowego tam w domu, ale nie śmie w tej eleganckiej tualecie zbliżyć się do przekupek. Mogłyby potem po całej wsi opowiadać, że nie jest za pokojówkę w Budapeszcie...

Naraz spostrzega pod mostem statek, kursujący pomiędzy miastem, a jej wsią rodzinną. Tym samym statkiem przywiózł ją obrzydliwy handlarz nierogacizny i po pięciu dniach pozostawił samą pomiędzy obcymi...

Parowiec przybił widać dopiero przed chwilą, gdyż masa ludzi wysypuje się z niego. Wszyscy jacyś wystraszeni i zdenerwowani. Giestykulują gwałtownie i opowiadają coś żywo stojącym na brzegu. Powstaje hałas i zamieszanie, jęki

i płacze słychać na całej drodze pomiędzy stacyą a halą targową.

— Na miłość boską! Co się stało?

Wanda zapomina na chwilę, że ma powód do ukrywania się i biegnie ku grupie rozpaczających kobiet.

Nie potrzebowała się długo wypytywać, gdyż pierwsza z kraju kobiecina, która ją natychmiast poznała, wykrzyknęła:

— Julciu! serce złote! Zgubieniśmy już, zgubieni! Cała wieś w płomieniach!

Wystarczyło tych parę słów, aby Wanda zapomniała o wszystkiem innem i uczuła tylko jedno — ale to na samem dnie serca — że jest dzieckiem tej wsi nieszczęśliwej i że ta wieś stoi w płomieniach. Kobiecina, która pod wpływem wstrząsającego wrażenia nie widziała w niej Wandy, lecz dawną Julcię, rozbudziła jednym wyrazem wielkie i szlachetne uczucie w duszy dziewczyny.

— Ach! nasza piękna wioska! Och! moja biedna matusiu!

I Wanda opłakiwała wraz z dawnemi sąsiadkami szczerze i serdecznie klęskę wioski i wraz z niemi myślała tylko o tem, aby jak najprędzej

dostać się do domu. Ani jednej z kobiet nie przyszło do głowy, że ta Julcia jest właściwie Wandą.

Statek odjeżdżał z powrotem dopiero o trzeciej. Szybko pobiegła Wanda do swego mieszkania, aby przygotować się do podróży. Po drodze nie mrugała na nikogo, a zresztą łzy, jakie jej ciągle płynęły z oczu, nie dozwalały na zauważenie kogokolwiek.

Wreszcie znalazła się na miejscu. Zrzuciła z siebie wspaniały kostyum i poczęła wdziewać swoje dawne ubranie, w którem tu przyjechała. W kwadrans była już naprawdę Julcią; nic nie zdradzało w niej Wandy.

Poszła do kasy oszczędności, gdzie drobnemi wkładkami złożyła już kapitał stuguldenowy, kazała sobie wypłacić całą sumę i schowała pieniądze za stanik. Potem powróciła śpiesznie na stacyę okrętową i przez parę godzin płakała na spółkę ze znajomemi kobietami. W południe kupiła za parę centów skwarków i kawałek chleba i jadła to powoli, myśląc o okropnych rzeczach, jakie ją czekają w domu, a jej boleść i rozdrażnienie większe były, niż u innych. Ale

też czuła, że to szlachetne cierpienie sprawia jej jakąś dziwną, niepojętą przyjemność...

Umieściła się na samym przodzie pokładu trzeciej klasy, wystawiona na wiatr i upał, wciśnięta w gromadę jęczących kobiet. Razem z niemi wymyślała coraz straszniejsze obrazy spustoszenia wioski i dręczyła się tak samochcąc przez półczwarta godziny. Ilu się też popaliło? Czyje dzieci zginęły w ogniu i dymie? Którego chłopa zabiła spadająca belka? Czy też wyratowano bydło i konie? Czy mężczyźni na czas odnowili »sekuracyę«?

Takie pytania zadawały sobie wszystkie jadące i dochodziły do najokropniejszych przypuszczeń. Julki nerwowa ambicya zaszła tak daleko, że wyobrażała sobie biedną matusię, spaloną na węgiel w zgorzałej chacie.

Przecież ślepa, nie widzi więc ognia... wbiegła może sama pomiędzy rozżarzone głownie.

Ujrzała wreszcie dym, unoszący się nad pogorzeliskiem, czarną chmurę, nasianą z rzadka czerwonemi strugami płomieni. Widok ten wywołał na okręcie świeży atak płaczu i jęków.

Julcia łkała boleśnie, a ciałem jej wstrząsał dreszcz okrutny...

— Patrzcie! patrzcie! nasz kościół zniszczony zupełnie! Wieża zawalona! — żaliły się kobiety, należące do gminy kalwińskiej.

— O! o! I katolicki kościół zgorzał! Oj! nie będziemy już słyszały pięknej sygnaturki...

Statek zatrzymał się przy brzegu wsi, dotkniętej klęską. Kobiety wybiegły, jak szalone i każda popędziła ku swemu domostwu.

W minutę była już Julcia w chacie matczynej. Istny cud! Domek stał nienaruszony w cieniu czterech olbrzymich osmolonych kasztanów, tuż obok dwu, wczoraj jeszcze dumnych, dachówką krytych, a dziś zupełnie zrujnowanych dworków i naprzeciw szczątków rozwalonego kościoła. Chata ocalała, nawet pelargonie stały w oknach na swojem miejscu. Stara matka dreptała po drodze między zagrodą a kościołem i załamując ręce lamentowała głośno, czemu to zgorzał wspaniały dom boży, a nie jej nędzna chałupa. Gdy Julcia zobaczyła to wszystko, uczuła lekkość, że aż jej się to nie podobało.

Kiedy przekonała się dokładnie, iż ani jej, ani matce nic złego się nie stało, uczuła, że

ów przyjemny, czysty nimb nieszczęścia znika z jej czoła. Ale wkrótce znalazła na to radę; instynktownie pojmowała, że o wiele piękniej i szlachetniej jest współczuć z innymi nieszczęśliwymi, niż biadać nad własną dolą. Oto kościół zniszczony doszczętnie, kościół, własność całej gminy. Julcia miała przeto najoczywistsze prawo i powód do rozpaczania.

Poszła tedy do ruiny świątyni, opłakując ją serdecznie, potem zaś wmieszała się między najbardziej dotkniętych nieszczęściem i opowiedziała im, że przywiozła ze sobą wszystkie oszczędności i chce je rozdać najuboższym. W jednej chwili rozdzieliła ośmdziesiąt guldenów. Z pozostałych wręczyła w bardzo grzeczny sposób dziesięć guldenów księdzu pastorowi, jako datek na koszty odbudowania kościoła, pięć zostawiła matce, a z ostatnią piątką w kieszeni wyruszyła nazajutrz z powrotem do Budapesztu.

W jednej chwili rozeszła się po całej okolicy wieść o dobrem sercu Julki. A toć wieś nie ma drugiej takiej zacnej córki w Budapeszcie — ednakże i tej nie oszczędziły złośliwe języki! Niechże Bóg skarze tych niepoczciwych blu-

żnierców!... Tak mówili wszyscy, szczególnie zaś gadały to bez ustanku kobiety, jeżdżące na targ do Pesztu, skąd przyniosły do wsi wiadomość, że Julcia zeszła z drogi cnoty.

Matusia towarzyszyła Julce do okrętu, dumna ze swej córki, chociaż nie zupełnie zadowolona z tego, że pozbyła się wszystkich zaoszczędzonych pieniędzy.

— Teraz musisz być pilna i oszczędna, aby znów sporo grosza przynieść ze sobą! — mówiła i powtórzyła jej to jeszcze raz przy pożegnaniu.

Na statku znalazł się pomiędzy podróżnymi pewien pan o bystrem oku. Ten spoglądał jakiś czas na ładną dziewczynę, której pełne formy przebijały się wyraziście przez opięty strój wieśniaczy, aż wreszcie uśmiechnął się pod wąsem. Już wiedział, kto to. Powoli, ale pewnie podszedł ku Julci i szepnął jej w ucho:

— Servus, Wanda! A ciebie gdzie tu licho nosi w takiem przebraniu?

W pierwszej chwili miała dziewczyna ochotę zmierzyć natrętnego panicza ostrem spojrzeniem, ale zaraz przypomniała jej się rada matczyna: »Teraz musisz być pilna«!

Ha! cóż miała zresztą innego do roboty? Odpowiedziała tedy kokieteryjnem mrugnięciem oka. To wystarczyło.

Julcia, dziecię wsi, stała się znowu Wandą wielkiego świata.

[illegible]

[illegible] wyekwipowała Julcę [illegible] ze swej części, chociaż nie zupełnie zadowolona z tego, że pozbyła się wszystkich zaoszczędzonych pieniędzy.

— Teraz musisz być pilna i oszczędna, aby znów sporo grosza przynieść ze sobą! — mówiła i powtórzyła jej to jeszcze raz przy pożegnaniu.

Na statku znalazł się pomiędzy podróżnymi pewien pan o bystrym oku. [illegible] kiś czas [illegible] żadna [illegible], której pełne formy zaznaczały się [illegible] opięty [illegible] [illegible] się pod wąsem. Już wiedział, kto to. Powoli, ale pewnie podszedł ku Julci i szepnął jej w ucho:

— Servus, Wanda! A ciebie gdzie tu licho nosi w takiem przebraniu?

W pierwszej chwili miała dziewczyna ochotę zmierzyć natrętnego panicza ostrem spojrzeniem, ale zaraz przypomniała jej się rada matczyna: »Teraz musisz być pilna«!

LAURA LENGYEL.

POWIASTKA.

Zbudowana na uboczu przez jakiegoś zdeklarowanego mizantropa willa, dawno już stała pustką. Któżby się bowiem sprowadzał do domu, położonego zdala od uzdrowiska? Na wiosnę odnowiono wszakże willę, gdyż miała ją zamieszkać przez lato jakaś nieznana nikomu księżna.

Nagle okolica ustronnego letniska spodobała się wszystkim. Mnóstwo kuracyuszów wybierało się codziennie na dalekie przechadzki, aby tylko przyjrzeć się willi, którą zamieszka dostojna dama.

Pewnego pięknego dnia zajechała wreszcie księżna wraz ze swym orszakiem do tego małego raju. Pozdrawiała wszystkich na lewo i prawo, ale bardzo łatwo można było wyczytać z jej twarzy, że uśmiechy i życzliwe spojrzenia były jedynie grą jej dobrze tresowanych nerwów.

Jeżeli ją kto odwiedził, przyjmowała go bardzo grzecznie i wdzięcznie.

Już cztery tygodnie przepędziła księżna w willi, gdy otrzymała zapowiedź przyjazdu męża. Przy-

był rzeczywiście, zabawił całe dwadzieścia cztery godzin w towarzystwie małżonki i odjechał z powrotem. Księżna nie zmieniła się ani wtedy, gdy przybywał, ani wtedy, gdy odjeżdżał. Wogóle nie troszczyła się o nikogo, najmniej jednak chyba o męża.

Powóz, który zabrał księcia do stacyi, dawno już zniknął na zakręcie, a księżna wciąż jeszcze stała w oknie. Obserwowała padający deszcz z taką uwagą, jak gdyby chciała liczyć jego krople.

Nagle zajaśniała na niebie olśniewająca błyskawica, a za chwilę przeraźliwy grzmot wstrząsnął całym domem.

Księżna zbladła, ale nie odeszła od okna. Wtem drzwi jej pokoju rozwarły się gwałtownie, a na progu ukazał się obcy mężczyzna, przemokły do nitki. Widocznie nie było nikogo w sieni, że udało mu się dotrzeć tu swobodnie.

— Proszę o przebaczenie, łaskawa Pani! Wiem dobrze, iż dopuściłem się pospolitego włamania, a również zdaję sobie sprawę i z tego, że widok zmokłego nietoperza nie jest wcale, a wcale estetyczny, ale usprawiedliwi mnie

może to, że nadszedł koniec świata i wszyscy musimy umrzeć.

Przy tych słowach wskazał na rozłamaną przez burzę lipę. Księżna, która już widziała to spustoszenie rzekła krótko:

— Witam pana serdecznie.

— Pozwól łaskawa pani, że przedstawię ci najnowszego, ale do śmierci wdzięcznego sługę: nazywam się Ferenc Derzsy.

— Nie jest pan Niemcem?

— Nie, jestem Węgrem, co zresztą bardzo łatwo można poznać po mojej niemczyźnie.

— Jeszcze nigdy nie rozmawiałam z Węgrem.

Księżna podeszła do stolika z herbatą i roześmiała się serdecznie, może po raz pierwszy w życiu. Przyszło jej na myśl, że młody człowiek nie wie, z kim rozmawia.

— Myślę, że nie odmówi mi pan filiżanki herbaty?

— Całuję rączki, dobrodziejko! Ależ pani jest ogromnie łaskawa dla — włamywaczy!...

Księżna powzięła pewne podejrzenie i zapytała ciekawie:

— Jak długo bawi pan w naszym uzdrowisku?

— Przyjechałem dziś rano. No! i trafiłem na przyjemny dzień... Ale, ale, proszę pani! są też tu ładne kobiety?

— Nie ma pojęcia u kogo jest w gościnie... pomyślała księżna i roześmiała się znów głośno.

— To mnie się pan pyta? rzekła. — Jak można się pytać kobiety o to, czy inne są ładne? Czy wszyscy pańscy ziomkowie są tak zgrabni kawalerzy?

Teraz obcy począł się śmiać, głośno, wesoło, jak dziecko. Taki ton śmiechu najbardziej ujmuje duszę kobiecą.

— Niech pani kpi ze mnie dowoli, wiem przecież, że się prezentuję pociesznie. Ale pytałem się tylko ze względu na moich przyjaciół, bo mnie to osobiście wcale nie obchodzi — chyba, o ile idzie o wrażenie czysto estetyczne...

Na jej pytające spojrzenie dodał:

— Jestem narzeczonym.

— Ach! tak? wycedziła księżna. — A pańska narzeczona?

— Przyjeżdża jutro.

Księżna, która traktowała dotychczas swego niezwykłego gościa obojętnie, zaczęła się nim nagle interesować — tak, po kobiecemu:

— A pańska narzeczona jest piękna? zapytała.

— Kocham ją.

— I jest pan szczęśliwy?

— Łaskawa pani! tego słowa powinno się używać bardzo rzadko i bardzo ostrożnie... Wiem, że przed pięciu laty zaręczyłem się z tą dziewczyną i że od tego czasu walczę o egzystencyę w wielkim świecie, a teraz mogę wreszcie ofiarować wygodę i dobrobyt tej, która dla mnie jest najdroższa na świecie. Teraz mam już prawo żyć dla mojej narzeczonej i starać się o wszystko. I wiem, że każdy krok, jaki w życiu zrobię, wywoła uśmiech na jej wargi. Jeżeli to się nazywa szczęściem, to jestem szczęśliwy...

Księżna mimowoli podała mu rękę i szepnęła:

— Widzi pan, kochany panie, to mnie tak cieszy, że mogę słyszeć coś podobnego, bo...

Nie mogła dokończyć zdania, gdyż w tej chwili weszła dama do towarzystwa, która zadziwiła się niezmiernie, zastawszy w buduarze księżny obcego mężczyznę.

Ten podniósł się zakłopotany, ale księżna zachowała spokój zupełny.

— Chce pan już iść? zapytała uprzejmie. —

Ach! tak? burza już przeminęła? Jakżeż wdzięczna panu jestem za tę powiastkę prześliczną!...

Zwróciła się do swej damy:

— Pan opowiedział mi cudowną powiastkę o pewnym mężczyźnie, który dla kobiety pracuje i walczy i o pewnej dzieweczce, która zasługuje, aby dla niej walczono i pracowano. Burzy tylko mam do zawdzięczenia, że to usłyszałam... Spojrzyj moja droga! ta sama burza rozszarpała na dwoje naszą młodą lipę...

JUTTKA MIKLOS.

Ach! tak! burza już przeminęła... czas panu jeszcze za tę powiastkę przeliczenia...

Zwróciła się do swej damy:

— Pan opowiedział mi cudowną powiastkę o pewnym jegomościu, który dla kobiety pracuje i walczy i o pięknej dziewczynce, która domaguje, aby dla niej walczono i pracowano. Brakuje tylko mało do zrozumienia, że to usłyszałem... Spójrzcie moja droga! ta sama burza rozszarpała na dwoje naszą młodą lipę.

JEGO TEORYA

dla starszych

Kochany Kolego! Na biurku stoi przedemną filiżanka gorącej herbaty, para jej męsza się z dymem mojego cygara, a pióro biegnie szybko po papierze... Za pół godziny muszę się zastrzelić...

Drzwi od pokoju są uchylone; widzę jasną główkę mej żony i słyszę szczebiot dzieci i wesołe ich śmiechy — a za pół godziny...

Dziś przed południem badałem jak zwykle chorych na klinice, pisałem recepty, pocieszałem chorych, a nawet przyrzekłem protekcyę jakiemuś młodzieńcowi, którego polecił mi mój asystent. I już muszę...

Tak często ściskaliśmy sobie dłonie, tak szanowaliśmy się wzajemnie, — to też chciałbym widzieć twarz Twoją, gdy będziesz czytał ten list mój ostatni i dowiesz się z niego, że jestem — mordercą! Pięć, sześć i więcej, zbrodni... Boże! nawet ich nie liczę. A teraz zabijam siebie. Nie z powodu popełnionych morderstw, lecz dlatego, że popadłem w taki stan właśnie, w jakim znajdowali się ci, których ja zgładziłem ze świata. Hołdując zawsze spra-

wiedliwości, nie mogłem dla siebie robić wyjątku.

Jako lekarz byłem od szeregu lat świadkiem bezbrzeżnej nędzy, setki razy widziałem to potworne zmaganie się resztek człowieka ze śmiercią i to dziwne przywiązanie do życia, nawet wtedy, gdy się nie posiada żadnych środków do prowadzenia dalszej walki.

Już w pierwszych latach mojej praktyki doktorskiej czułem pewien instynkt, który cofał mi rękę, kiedy podawałem uzdrawiające lekarstwo nieuleczalnie choremu kalece. Życie jest walką, w której jeden spycha drugiego w przepaść, jeżeli ma nadzieję, że przez to postąpi bodaj jedną piędź naprzód; silniejsze ramiona torują sobie drogę siłą brutalną, twarde czaszki uderzają o siebie, tłuszcza podobna do różnorodnej trzody w jedną gromadę spędzonej, przewala się i depce po sobie.

Cóż będzie, cóż dziać się może z tem ciałem bezsilnem, okaleczałem, jeśli wpadnie w sam środek tej ohydnej walki? jeśli dostanie się w ten kłąb chaotyczny, wrący, a bezduszny? Wszak to chore ciało musi co krok walczyć z silnemi i dzikiemi. Jakżeż więc takiego mi-

zernego półczłowieka posyłać na bój przeciw tym zdrowym i łakomym bestyom?!

Drażnili mnie ci kalecy. Zawsze z matematyczną punktualnością przychodziłem do kliniki, aby tej nieskończonej rzeszy rozdawać lekarstwa, mające przewlec jeszcze na czas jakiś marne życie, lecz z każdym dniem wzbierało coraz bardziej we mnie wewnętrzne przekonanie, że oni istnieć nie powinni. Formowało się to w moim umyśle, krystalizowało, a wreszcie poczęło się zarysowywać w coraz ostrzejszych konturach. Mniej więcej tak:

Wyszedłszy z prymitywnego, pierwotnego stanu, doszedł człowiek w ciągu lat milionów do obecnego stopnia rozwoju.

Czy temu rozwojowi naznaczono granicę? Czy dzisiejszy człowiek jest już tą granicą — doskonałością? A czyż może doskonalić się rasa, gdy przedemną przesuwa się codzień ten nędzny tłum, złożony z kalek, paralityków, matołków i dających jeszcze znaki życia, zwłok prawie? I te przeliczne wcielenia wszelakiej nędzy chcą żyć? Żyć, rozmnażać się i przeszkadzać naturze w rozwoju wspaniałego jej dzieła?

W każdem, zwykłem towarzystwie ten czło-

nek ma największe prawa, który mu największą korzyść przynosi, a w tym olbrzymim związku wszechludzkości miałoby być inaczej?

Dla niej bez kwestyi, o wiele więcej pożądanem jest zdrowe, wyposażone w siłę indywidyum, niż niezdolny do życia i tworzenia kaleka. Bo życie nie jest samą tylko walką — życie jest egoizmem rasy. Dlatego i ja nienawidzę tych nędzarzy.

Tłumiłem w sobie te myśli, nurtujące uparcie we mnie, lecz poczynałem czuć dla siebie coraz większą pogardę za to, że dawałem istotom nieuleczalnym możność dalszego plątania się po świecie...

Potem przyszła taka chwila, że już nie mogłem!

Na klinice jest szczególnie w czwartki nadzwyczaj dużo chorych, bo we środę przychodzą do miasta chłopi na targ, więc za jedną drogą przywożą i swoich chorych. W takie tedy dnie leżała przedemną cała nędza miasta i wsi, płacząc i skomląc o pomoc.

Przeciągał przed memi oczami ten orszak żywych trupów, a każdy z nich wzbudzał we mnie jakąś dziwną chęć wyrżnięcia tych na-

rostków z żywego ciała społeczeństwa i potęgował to parcie do mordu...

Pierwsza była młoda dziewczyna, idyotka. Gdy tylko weszła, odziana w jakieś szare ubranie, i utkwiła w mej twarzy dwoje pustych, bezmyślnych oczu, zagotowało się we mnie, a dawna chęć mordowania przemieniła się w tej chwili w ideę, w konieczność. Kiedy na drodze mej leży robak, który żadnej korzyści nie niesie, innym przeszkadza i jeszcze w dodatku płód zostawia po sobie, to kładę na nim nogę i miażdżę go... tak, miażdżę!

Preparat miałem; był to znakomity proszek, wytworzony z różnych substancyj, jaki udało mi się zrobić przypadkowo podczas prac doświadczalnych. Zabija w cztery do pięciu dni bez najmniejszego bólu, wywołując tylko zupełny upadek sił.

Robak leżał przedemną — rozgniotłem go przeto! Jako lekarz sekcyonowałem setki żywych i umarłych ciał; każdy tajnik organizmu jest mi znany, a śmierć nie robi na mnie najmniejszego wrażenia. Jest to bowiem rzecz całkiem naturalna i prosta.

Potem zgładzałem już wszystkich, którzy weszli mi w drogę...

Garbatego węglarza i cierpiącego na raka szewca, i wszystkich, wszystkich!

Nie myśl, że odczuwałem kiedykolwiek wyrzuty sumienia, owszem — uważałem się za dobroczyńcę ludzkości.

Byłem zawsze w dobrem usposobieniu, miałem wyborny apetyt i sypiałem znakomicie. Poźniej zaczęło dziać się inaczej...

Pewnego razu ujrzałem we śnie garbatego węglarza, z oczu jego ciekły łzy, płakał. Następnej nocy widziałem znów owego szewca chorego na raka.

Dziś... w klinice... gdy schodziłem na dół, spostrzegłem na ciemnym zakręcie schodów tę samą idyotkę w szarem odzieniu... Wyłupiła na mnie swoje puste głupie oczy...

Stanąłem. Po minucie, gdy jej już nie widziałem więcej, poszedłem do domu.

Tu przy mem biurku stawiam dyagnozę: Regularnie powracające sny oznaczają już pewne nienaturalne działanie mózgu. Jeżeli zaś te mary ukazują się także na jawie, natenczas jest to nieomylną oznaką rozprzężenia mózgowego.

Takie zboczenie objawia się w tem, że nieuleczalnie chory widzi nieistniejące istoty, co zamienia się pomału w manię prześladowczą, albo też w bezmyślną apatyę, jeżeli zsunie się na mózg mgła dobroczynna. Ten stan jest już zupełną ruiną ducha i umysłu.

Ta dyagnoza była dla mnie wyrokiem śmierci. Wykonać go jest obowiązkiem honoru. Wszak oswabadzałem nieszczęśliwych od życia, które mogło być dla nich tylko cierpieniem i męką, jak również oswobadzałem życie od tych, którzy mu byli ciężarem.

To samo muszę uczynić z sobą.

Drzwi od przyległego pokoju są otwarte i widzę moją poczciwą żonę i drogie dziecięta szczebioczące wesoło.

Coś ściska mnie za gardło.

Wiem, co to! — to owo pragnienie życia! A jednak czas już... Bóg z tobą kochany kolego!

dla [illegible]

Takie zboczenie objawia się w tem, że nieuleczalnie chory widzi nieistniejące istoty, co zamienia się pomału w manię prześladowczą, albo też w bezmyślną apatyę, jeżeli zsunie się na mózg mgła dobroczynna. Ten stan jest już zupełną ruiną ducha i umysłu.

Ta dyagnoza była dla mnie wyrokiem śmierci. Wykonać go jest obowiązkiem honoru. Wszak oswobadzałem nieszczęśliwych od życia, które mogło być dla nich tylko cierpieniem i męką, jak również oswobadzałem życie od tych, którzy mu byli ciężarem.

To samo muszę uczynić z sobą.

Drzwi od przyległego pokoju są otwarte i widzę moją poczciwą żonę i drogie dzięcięta szczebioczące wesoło.

Coś ściska mnie za gardło.

Wiem, co to! — to owo pragnienie życia! A jednak czas już... Bóg z tobą kochany kolego!

KALMAN MIKSZÁTH.

PÓŁSYN.

Pewnemu właścicielowi dóbr z naszej okolicy, panu Lörincowi Gáthiemu, zmarła młoda śliczna żona, pozostawiając ledwie co urodzonego zdrowego chłopczyka. Pieściła go stara ciotka, i oblewała serdecznemi łzami, jakie jej pozostały jeszcze od pogrzebu.

— Biedactwo! sierotka! Co z ciebie będzie? Na nic się zmarnujesz bez macierzyńskiej opieki!

— Już ja go będę umiał wychować! powiedział ojciec i ucałował różowe pysio leżącego w kołysce maleństwa. Nie bój się syneczku! Mama odeszła, ale wróci. Bez matki ciebie nie zostawię!

— Nie będzie to rodzona matka, bracie Lörinc, o której myślisz.

— A jednak ja mu dam matkę prawdziwą!

— No, to przyprowadźże ją z tamtego świata, skoroś taki wszechmocny! Ta, którą w dom swój wprowadzisz, będzie tylko macochą, choćby swe włosy wiązała złotemi wstążkami!

Gáthi pojechał nagle do Pesztu z dzieckiem, pozostawił je tam i powrócił zaraz do domu. Był to charakter zimny i zamknięty w sobie,

to też nikomu nie powiedział, gdzie się chłopiec znajduje, a zresztą nikt się nie poważył pytać go o to. Ludzie powiadali:

— Dał je gdzieś na wychowanie i koniec!

Po pięciu tygodniach ożenił się nagle z siostrą dyrektora dóbr książęcych, panią Barbarą Zehrenyei, najpowabniejszą wdówką w całej okolicy.

Ludziom się to nie podobało i znów poczęli szeptać między sobą:

— Usunął dziecko z drogi, żeby nie gawędziło. O! to zły człowiek ten Gáthi!

Nie trzeba było czekać zbyt długo, a nowa żona obdarzyła pana Lőrinca również chłopczykiem.

Jeszcze pani Gáthi nie opuściła łóżka po przebytej chorobie, gdy jej mąż wyjechał znowu do Pesztu, zabierając z sobą dziecko po to, aby go nie przywieźć z powrotem. Ludziom było już tego za dużo:

— Co u djabła? Dziś bocian przynosi, a jutro ojciec wynosi z domu? Co to ma znaczyć?

I podczas gdy za plecami Gáthiego powstawały całe legendy, w domu jego rozpoczęły się płacze i lamenty. Młoda kobieta była zroz-

paczona; to groziła sądami, rozwodem i żądała oddania jej dziecka, to znów błagała męża, padała przed nim na kolana i zaklinała go na krucyfiks:

— Oddaj mi dziecko! Coś z niem uczynił?

Ale dziwak pozostał niewzruszony.

— Dziecię jest dobrze ukryte i dostaniesz je wkrótce z powrotem. Nie pytaj zatem, ani mnie nie badaj, bo nic nie powiem, ani teraz ci go nie oddam. Na grobie nieboszczki żony przyrzekłem to sobie i nie mogę łamać przysięgi.

Tak przeszło pięć lat, które były jednem udręczeniem matczynego serca. Próbowała wszystkiego, aby z męża bodaj coś nie coś wydobyć, ale nic nie pomagało; »okrutny ojciec« pozostał zimny i twardy, jak kamień. Często wyjeżdżał do Pesztu, aby »zobaczyć, co się dzieje z dziećmi» i opowiadał potem żonie, że się chowają zdrowo.

W piątym roku, na tydzień przed świętą Barbarą, stanął Lörinc przed żoną, pogładził jej włosy i rzekł miękkim głosem:

— No żoneczko! Piecz i gotuj na twe imieniny, gdyż pojutrze jadę do Pesztu i przywiozę chłopców do domu.

Z okrzykiem radości rzuciła mu się biedna kobieta na szyję. To jedno słowo męża podziałało na nią, jak cudowne zaklęcie. W sekundzie znikły jej wszystkie smutki i męczarnie okrutnych pięciu lat ostatnich.

Skoro jednak w dniu św. Barbary przed dworek ich zajechał powóz, a z ogromnej wilczury wysypało się dwóch rumianych, tryskających zdrowiem chłopczyków, oniemiała na chwilę, lecz wnet przyszła do przytomności i wyciągnąwszy do nich ręce biegła naprzeciw wzruszona i niewypowiedzianie szczęśliwa.

— Mamusia! — zawołał jeden, wspinając się jej do szyi.

— Mateczka! wykrzyknął drugi, całując jej dłonie i obejmując ją dziecięcemi rączętami.

Którego całus był słodszy, tego pani Gáth nie wiedziała.

Ojciec nazywał jednego Laci (Władzio), drugiego Pali (Pawełek). Byli do siebie podobni, tak rysami jak i wzrostem. Żaden nie wydawał się więcej rozwiniętym — i nic dziwnego, wszak była między ich wiekiem bardzo mała różnica.

Pani Gáthi patrzyła to na jednego, to na drugiego, a wreszcie odwołała męża na bok:

— Który jest mój syn? powiedz!

— Co też ty masz w głowie? Przecież na to jedynie trzymałem dzieci w ukryciu, ochrzciłem i wychowałem w obcem miejscu, abyś ty ich jednakowo kochała, abyś nie wiedziała, który z nich jest twoim synem.

— Człowieku! pomyśl, co czynisz?

— Już dawno pomyślałem. Uzbrój się tylko w cierpliwość, a skoro dożyją dwudziestego roku i będą już mogli obejść się bez matki, wtedy wskażę ci twojego syna i dostarczę potrzebnych dowodów.

Czyż mogła ta kobieta zrobić co innego, jak obu chłopców jednakowo kochać i pielęgnować? Ale uczucie macierzyńskie nie spoczywa nigdy; szuka, spogląda, domaga się i uzbraja.

Obserwowała dzieci w dzień i w nocy, śledziła ich usposobienia, odszukiwała w ich przyzwyczajeniach swoich własnych, stawiała to jednego, to drugiego przed zwierciadłem i porównywała ich rysy ze swojemi. Czasami odkrywała jakąś linię, poruszenie lub wyraz oczu i wtedy dreszcz ją przechodził: »Ten jest mój«.

Nieszczęście było tylko, że to podobieństwo widziała raz u tego, drugi raz u tamtego.

Serce matczyne, owo magnetyczne, czujące, o którem poeci tyle śpiewali, nic jej nie powiedziało.

Naturalnie, że nic. Boć tylko bardowie zrobili z tego w ciągu tysiąca lat taką wielką historyę. Dziś przeżyło się to już zupełnie.

Tymczasem dzieciaki rosły i uczyły się pilnie, a obaj byli dzielnymi i przyjemnymi chłopcami. Teraz już i oni wiedzieli, że ich matka jest dla jednego z nich macochą, ale każdy myślał, iż właśnie on jest prawdziwym jej synem. To nie psuło im zresztą humoru.

Pewnego dnia zachorował Gáthi, a jego żona postanowiła to zaraz wyzyskać; skoro ciało chore, wtedy dusza zmięknie. Łasiła się przeto, jak kot około męża.

— Wskaż mi mojego syna... miej litość! Przysięgam ci na Boga żywego i na pamięć matki mojej, że tylko ja będę o tem wiedziała. Mój pasierb nigdy! Chcę i będę zawsze obu kochać jednakowo!..

— Dobrze, moja droga skoro przysięgłaś. (W tej chwili wszedł do pokoju Pali).

— To jest twój syn! — szepnął chory.

Porwała się z miejsca, przyskoczyła do zdziwionego chłopca, ściskała go, całowała, wzięła jego główkę między dłonie i gładziła wzruszona jedwabiste włosy dziecka.

W południe Pali dostał już ładniejsze jabłko, a przy podwieczorku nóż wbił się głębiej w lukrowaną babkę, gdy dla niego miała ukroić z niej kawałek.

Około wieczora rozbiło się okno w oranżeryi, gdzie się bawili chłopcy piłką. Dzieci opowiadały, że samo, ale matce przyszło do głowy, że musi to być sprawka Lacika, chociaż w rzeczywistości zrobił to Pali.

Tak działo się codziennie, aż Gáthi to zauważył wreszcie.

— Oj! oj! żoneczko!

— Co sobie życzysz, Lörinc?

— Śmiać mi się chce z ciebie, moje złotko! Wszystkie jesteście jednakie! Poruszyłem tylko jedną sprężynę w twojem sercu, a już wyłazi z ciebie macocha. Otóż muszę ci powiedzieć, że próba się nie udała.

— Jaka próba?

— Z dziećmi. Postanowiłem bowiem wska-

zać ci, jako twojego syna tego, który pierwszy wejdzie do pokoju.

— Potwór! — jęknęła zrozpaczona kobieta. Więc oszukałeś mnie?

— Być może. Zresztą to ty mnie oszukałaś; mówiłaś mi, że obu ich będziesz kochać jednakowo, a tymczasem przekonałem się, iż jednemu dzieje się lepiej, niż drugiemu. Jednem słowem postępujesz źle!

Barbara upadła na sofę. Była przygnębiona. Od tego czasu nigdy już nie poważyła się pytać męża. I tak nie pomogłoby jej to nic, a nic.

Pogodziła się z losem i oczekiwała dnia w którym chłopcy skończą dwudziesty rok życia; wtedy ciekawość jej będzie zaspokojona, dowie się prawdy.

Dzień ten się zbliżał. Gdy liście na lipach poczynały opadać, odwożono chłopaków do miejskiej szkoły, a skoro gałęzie tych samych lip pokryły się kwieciem, przywożono ich z powrotem do domu. Trwało to sporo lat.

Raz nadszedł jednak taki rok, w którym lipy na darmo kwitły — chłopcy nie wrócili. Z ła-

wek szkolnych poszli tam, gdzie zakraśniały nagle czerwone krawe róże...

Ich profesor przyszedł pewnego dnia do szkoły tak jak zawsze, tylko z niezwykle uroczystą miną, a za nim szedł pedel, który zazwyczaj nosił mu książki. Tym razem dźwigał jednakże pęk karabinów.

— Dzieci — rzekł szanowny profesor, wstąpiwszy na katedrę — złóżcie książki, bo w nich są same głupstwa. Przeżywamy ciężkie dni. Pokażcie, który z was zdoła unieść karabin?

W ciężkich czasach karabin jest lekki. Każdy wziął go na ramię z łatwością.

Cała klasa wyruszyła; naturalnie dzieci Gáthiego także. Profesor stanął na czele oddziału.

Na wojnie padł z nich jeden. Do starej chaty wrócił tylko Laci. Nikogo nie dziwiło, że ktoś tam padł w boju; nie zwracano na to uwagi. Cudem wydawało się, jeżeli kto ocalał — i ten wstydził się niejako i usprawiedliwiał przed każdym.

W domu cieszono się pozostałym przy życiu bohaterem; przynajmniej on osłodzi stare lata rodzicom. Matka uspokoiła się wkrótce. Gdybyż ten był jej synem!... Ale, jeżeli nie jest?...

Gáthi i teraz nie zdradził tajemnicy, chociaż był to już dwudziesty rok od urodzenia chłopców, aż wreszcie pewnego dnia, gdy żona, zajęta haftowaniem jakiegoś dywanu, siedziała pogrążona w cichej zadumie, wszedł do jej pokoju z miną wielce poważną.

— Barbaro! — rzekł, dzisiejszy dzień jest dla nas bardzo ważny.

— Cóż to za dzień?

— Dwudziesta rocznica urodzin naszego drugiego syna.

Pani Gáthi drgnęła. Na jej twarz wystąpiły silne rumieńce, które jednak wkrótce znikły zupełnie.

— A co chcesz? — zapytała bezdźwięcznym głosem.

Gáthi wyjął z kieszeni pakiet z dokumentami.

— Chcę wypełnić dane ci przyrzeczenie. Teraz dowiesz się, który jest twoim synem.

Ona zerwała się nagle i położyła mu rękę na ustach.

— Cicho! — zawołała. Ani słowa! Nie chcę tego wiedzieć nigdy, przenigdy!

Potarła ręką czoło.

— Tak przynajmniej połowa chłopca jest moja!...

— Masz słuszność — rzekł Gáthi i wrzucił dokumenty w ogień, tlejący na kominku, a jasny płomień oświetlił bladą twarz matki, otaczając jej głowę niby promienistą aureolą...

— Tak! — szepnęła. Niema już na świecie żadnego dowodu. Teraz ty jeden tylko znasz tajemnicę...

Géthi i teraz nie odezwał się [illegible]. Przecież był to już dwudziesty rok od urodzenia [illegible]

[illegible]

— Cóż to za dzień?

— Dwudziesta rocznica urodzin naszego drugiego syna.

Pani Géthi drgnęła. Na jej twarz wystąpiły silne rumieńce, które jednak wkrótce znikły zupełnie.

— A co chcesz? — zapytała bezdźwięcznym głosem.

Géthi wyjął z kieszeni pakiet z dokumentami.

— Chcę wypełnić dane ci przyrzeczenie. Teraz dowiesz się, który jest twoim synem.

Ona zerwała się nagle i położyła mu rękę na ustach.

— Cicho! — zawołała. Ani słowa! Nie chcę tego wiedzieć nigdy, przenigdy!

[illegible]

ISZTWAN SZOMAHÁZY.

HRABIA AGENOR A LITERAT.

Szilasi, który zobowiązał się przynieść redaktorowi powieść na termin oznaczony, siedział poważnie przy biurku i w czasie, gdy pokojówka pomagała jego żonie przy tualecie, pisał szybko:

Rozdział XXIV.

...Hrabia siedział w wygodnym fotelu i oparł nogi o kominek. Na dworze huczał jesienny, mokry wiatr, ale w wytwornej pracowni arystokraty, wyścielonej skórami niedźwiedziemi, panowało ciepło przyjemne. Hrabia czytał jakiś dziennik francuski i palił ulubione cygaro. W pokoju była cisza zupełna, przerywana jedynie tykaniem rokokowego zegara i szelestem przewracanych kartek. Bóg wie, jak długo trwałaby ta cisza, gdyby naraz nie był się ozwał dźwięczny głos kobiecy:

— A więc?

Hrabia odłożył gazetę i puścił świeży kłęb dymu ku zasianej arabeskami powale. Przed nim stała jego żona, ta słynna piękność, po-

gromicielka serc męskich i przyczyna tylu pojedynków.

— Co pani rozumie przez to pytanie, hrabino?

— Myślę, że wiesz hrabio, o co chodzi?...

— Ach! zapewne znowu o wyjeździe? zaśmiał się hrabia. — Sądzę, że dość wyraźnie określiłem moje zapatrywanie na tę sprawę. Teraz mogę chyba jeszcze raz powtórzyć: nie! —

Hrabina usunęła się na miękko wyścieloną posadzkę i oparła przecudną głowę o kolana hrabiego.

— Agenorze! Czyż nie chcesz mnie zrozumieć? — załkała. To powietrze dusi mnie, towarzystwo męczy, bale, zabawy zanudzają... Ja tak pragnę kawałka nieba, odrobiny morza, odpoczynku... Tu, wiem, że umrę — czuję to, wiem, jestem tego pewna... O! Agenorze! miej serce! wyrwij mnie z tej atmosfery nieznośnej!...

Hrabia zapalił świeże cygaro i założył nogę na nogę.

— Pani hrabino! — rzekł sucho, — pozostawmy lepiej te zbyteczne sceny. Wie pani,

jak nie lubię tych niemądrych sentymentalizmów i jak nie cierpię próżnej gadaniny... Jeżeli mnie pani zna choć trochę, to powinna wiedzieć, że stale dotrzymuję słowa! Zechciej pani raczej zadzwonić na Jerome'a, aby podał herbatę.

Wstał i szedł do dzwonka, ale żona zastąpiła mu drogę i wyciągnęła ku niemu drżące dłonie.

— Agenor! proszę cię na wszystko... Twoją niewolnicą, twoim psem wiernym chcę być, jeżeli tę jedną moją prośbę wypełnisz... Przecież tobie to wszystko jedno... w najgorszym razie nie pojedziesz na polowanie... I każde życzenie będę starała się wyczytać z twych oczu... ale weź mię stąd tylko... prędko, prędko, bo się duszę...

Hrabia wzruszył ramionami.

— Biedaczka! ma febrę... Proszę położyć się do łóżka, a ręczę, że spokój bardzo dobrze wpłynie na rozstrojone nerwy.

— Agenor! Nie chcesz więc uczynić dla mnie tej drobnostki?

Zamiast odpowiedzi, począł hrabia gwizdać jakiś kuplet kawiarniany.

Zegar tykał równomiernie.

W sąsiednim pokoju trzepotał się kanarek.

— Boże!... moje serce!... jęknęła hrabina.

Biała jej ręka przycisnęła pierś falującą, a przecudna jasnowłosa główka osunęła się bezwładnie na dywan. Hrabia podniósł żonę i złożył ją na kanapie, mruknąwszy cicho:

— Znamy się na tem!...

I nacisnąwszy guzik dzwonka, wydał krótki rozkaz Jereme'owi:

— Herbata!

W tej samej chwili wszedł do pokoju margrabia Hjacent, sławny myśliwy, który dopiero co powrócił z polowania na lwy.

— Co się tu dzieje? zapytał zdziwiony.

Hrabia wskazał spokojnie na omdlałą żonę i tłumaczył ogorzałemu myśliwcowi:

— Zapamiętaj to sobie! na kobiety można oddziaływać jednym tylko jedynym przymiotem: silną, żadnych ustępstw nieznoszącą męskością. Serce mężczyzny powinno być jak ze stali damasceńskiej, by pocałunki kobiece nie zdołały go zmiękczyć!... Małżeństwo jest i może być naprawdę szczęśliwe tylko wtedy, gdy zawsze i o każdym czasie silna wola mężczyzny wychodzi zwycięzko z walki...

Jerome wniósł herbatę, a hrabina poruszyła się i —

Tak daleko doprowadził już pan Szilasi swoją powieść, gdy nagle z sąsiedniego pokoju ozwał się silny głos damski:

— Jestem już gotowa!

Szilasi włożył pióro za ucho i podreptał ku pokojowi jadalnemu.

— Moja duszko!... — zaczął słodko, — potrzebowałbym jeszcze z pół godziny na dokończenie mego romansu. Mam dostać za niego czterysta guldenów i mógłbym je już jutro podjąć, a wiesz przecie, że jutro jest drugi termin licytacyjny...

Pani Szilasi, przyjemna i pulchniutka kobieta, przypinała sobie właśnie kapelusz przed lustrem. Usłyszawszy przemowę męża potrząsnęła czarną fryzurą.

— Nie pleć głupstw! krzyknęła niecierpliwie. — Może dla twojej przyjemności mam czekać na ciebie pół godziny w kapeluszu na głowie? Raz! dwa! rzuć twoją bazgraninę i wdziewaj czarny surdut!

Szilasi zwiesił głowę.

— Ależ złoteńko!... stękał nieśmiało, — ty nie masz pojęcia, jak to trudno wejść później w ten sam nastrój... Za pół godziny skończyłbym na pewno... a tak, jeżeli pójdę z tobą...

— Tomasz! proszę cię, nie złość mnie! Tomasz! nie doprowadzaj mnie do ostateczności! Tomasz! Już mam dość tego! Na fortepianie leży surdut, tam wisi kapelusz, tu jest chusteczka... raz! dwa!

Szilasi westchnął głęboko i zaczął wdziewać surdut i oglądać się za kapeluszem, żona konferowała jeszcze chwilę z pokojówką. Przez ten czas podszedł ku Szilasiemu szwagier, który słyszał całą rozmowę i rzekł do niego po przyjacielsku:

— Wiesz co, Tomasz! Wprawdzie twoja żona jest moją siostrą rodzoną, ale muszę ci powiedzieć, że jesteś skończonym pantoflarzem!

Szilasi zapiął surdut i odezwał się zniżonym głosem:

— Zapamiętaj to sobie! na kobiety można oddziaływać jednym tylko jedynym przymiotem: łagodnością. Serce mężczyzny powinno być,

jak masło roztopione, gdyż małżeństwo jest i może być szczęśliwe tylko wtedy, gdy zawsze i o każdym czasie silny mężczyzna podda cierpliwie własną wolę woli słabej, lecz zacnej kobiety...

[illegible] z tobą...

— Tomasz! proszę cię, nie złość mnie! Tomasz! nie doprowadzaj mnie do ostateczności! Tomasz! Już mam dość tego! Na fortepianie leży surdut, tam wisi kapelusz, tu jest chusteczka... raz! dwa!

Szilasi westchnął głęboko i zaczął wdziewać surdut i oglądać się za kapeluszem, żona konferowała jeszcze chwilę z pokojówką. Przez ten czas podszedł ku Szilasiemu szwagier, który słyszał całą rozmowę i rzekł do niego po przyjacielsku:

— Wiesz co, Tomasz! Wprawdzie twoja żona jest moją siostrą rodzoną, ale muszę ci powiedzieć, że jesteś skończonym pantoflarzem!

Szilasi zapiął surdut i odezwał się zniżonym głosem:

— Zapamiętaj to sobie! na kobiety można oddziaływać jednym tylko jedynym przymiotem: zgodnością. Serce mężczyzny powinno być,

CECYLIA TORMAY.

FLET HETERY.

Pogodne miasto bogów, święciło piękność Lais w adymantyjskich ogrodach. Cały Korynt był zebrany.

Z pośrodka pęków wonnego kwiecia iskrzyły się płonące pochodnie, a krew deptanych róż zalewała czerwienią purpury posadzkę perystylu. Gdzieś z ukrycia dochodził tajemniczy pobrzęk cymbałów: nad trójnogiemi urnami unosił się w powietrzu przedziwny zapach korzeni z Torsos, w szczerozłotych puharach, droższe niż złoto lśniło się słodkie wino, a wokół marmurowych słupów przesuwały się lekkonogie niewolnice w bezszelestnym tańcu.

Któż jednak patrzył na tancerki? Kto słuchał muzyki? oczy wszystkich zwróciły się ku Lais.

Około jej purpurą wysłanego łoża stali poeci i rzeźbiarze, słynni filozofowie, książęta barbarów, weseli młodzieniaszkowie i potężni panowie mieńby.

Przed jej gorącym oddechem słaniało się światło pochodni, nocne powietrze drgało... Korynt pożądał...

Lais przechyliła w tył różami uwieńczoną głowę, a pod jej spokojnem spojrzeniem przybladły naokół lica.

— Na Afrodytę — zawołał rzeźbiarz Myron. — Tyś piękniejsza, niż Piękność! Za jeden twój pocałunek podejdę chętnie pod same odrzwia Hadesu i wykuję tam twój posąg ze skał łożyska Acherontu!

— Odżyłbym w twych pieszczotach, o Lais! i byłbym pewny, że odnajdę drogę, wiodącą ku wieczystej Prawdzie! — mówił uwielbiany przez wszystkich młody myśliciel Arystippos, podczas gdy przebogaty kupiec z Bitynii podszedł śmiało ku heterze:

— Słuchaj mnie! Ja ofiaruję ci wszystko złoto me za złoto twoich włosów; zostaniesz moją niewolnicą, a słudzy moi twoimi rabami będą, wejdziesz w dom mój przy drodze do Kanei i będzie on twoim domem.

Lais śmiała się ciągle.

W oczach młodego książęcia Syryi rozetlił się błysk pożądliwy.

— Za dni twoje daruję ci królestwo, przez które przepływa rzeka z piaskiem złotym, a za jedną, jedyną noc twoją złożę u stóp twych

przepiękną, uwieńczoną myrtami wyspę egejskiego morza!

Cichy szmer podziwu dał się słyszeć dokoła.

Nagle przystąpił do łoża pięknej Eurypides, znany w Koryncie poeta i ucałował blademi wargami sandały jej, zdobne w bogate kamienie:

— O Lais! nie słuchaj ich! Ja daję ci więcej, niż wszyscy. Oni chcą dla ciebie żyć i umierać, pragną cię zakuć w złote kajdany niewoli, ja zaś niosę ci w dźwiękach mej lutni nieśmiertelność!

Znużona, odwróciła się Lais i spostrzegła pod ścianą starego mędrca, otulonego w łachmany. Ten milczał drwiąco.

— A ty najdowcipniejszy z żebraków Atyki, niczego mi nie obiecujesz?

Dyogenes podniósł głowę i wyrzekł drżącym głosem:

— Lais! przypominam sobie, iż pewnego razu przystąpił do mnie Wielki Aleksander Macedoński, a ja prosiłem, aby nie zasłaniał mi swym cieniem słonecznego światła, ciebie jednak błagam: wstąp pomiędzy mnie i słońce!...

— Dobry Dyogenesie! przyszlij wprzód dzie-

sięć tysięcy drachm do mego domu; wtedy będziesz mógł przyjść do mnie.

Stary filozof westchnął:

— Dla ciebie za mało, dla mnie za dużo! Za dużo, aby okupić jedno rozczarowanie...

Hetera nie usłyszała ostatnich słów stoika. Próg perystylu przestąpił jakiś młodzieniec, a ona spojrzała na niego i nie mogła śmiać się już więcej. Wyrwała rękę Syryjczykowi i jakby chcąc pozbyć się odrazu wszystkich spojrzeń, porwała rozrzucone na wezgłowiu kwiaty i cisnęła je w twarz mężczyznom.

— Dosyć! Idźcie już — idźcie!... Ustąpcie miejsce Dorionowi!...

Odeszli w złowrogiem milczeniu. Tylko Dyogenes uśmiechnął się zjadliwie, a Myron klął bogów nieśmiertelnych. Inni posłyszeli wreszcie muzykę i dostrzegli pląsające dziewczęta. Biesiadnicy gubili się w cieniu ogrodów.

Lais poprawiła się na purpurze swego łoża, a na jej złotej przepasce zamigotały perły, lśniące, jak krople rosy w noc miesięczną.

— Dorion! Drogi! Pójdź do mnie! Czekam na ciebie już tak długo!

Młody Koryntczyk zbliżał się ku niej powoli.

Lica jego były piękne i świeże, jak u dziewi spojrzenie zaś zimne i okrutne; wysmukłą i zgrabną postacią przypominał posągi Myrona. Lais kochała go, mimo, iż był nie wiele znaczącym poetą, którego pieśni znano zaledwie na przedmieściach.

— Czemu każesz się prosić — ty jeden?

— Dlaczego ja tęsknię za tobą i za tobą tylko? Nie możesz kochać?

— Ciebie, Lais, nie chcę kochać. Powiadają, że jesteś mistrzynią w niezwykłej sztuce łamania serc męskich. Wszak nie tak dawno, bo podczas ostatnich igrzysk istmijskich, rzucił się Klinias z murów Akrokoryntu, a przecież był on dobry i wszystko, co posiadał, oddał tobie.

— Wierz mnie, a nie innym!

— Jakże mam ci wierzyć, Lais, skoro ty sama nie jesteś niczem innem, jak tylko pięknem kłamstwem!

— Wszystko na świecie jest kłamstwem... Piękność jest kłamstwem znikomości, miłość kłamstwem dzikiej i ciemnej chuci, a szczęście... kłamstwem kobiet. Kochaj mnie Dorionie, a ja cię uczynię szczęśliwym.

Ujęła pieszczotliwie dłoń młodzieńca.

— Pozostaw mnie w spokoju! Pragnę ramion pięknych, ale takich które tylko dla mnie się otwierają i warg, które mnie tylko całują — ale — na wody pirejskie! ciebie nie mógłbym kochać, bo w zdradnych źrenicach twych ognistych oczu, widziałbym wiecznie owe noce, które przespałaś w cudzych objęciach, a w twych pocałunkach musiałbym słyszeć dźwięk złota, za które je kupowano!...

— Dlatego mnie więc nie kochasz, że mnie inni miłują, — że jestem Lais?! Och! Dorionie! Gdybyś ty wiedział!... Pójdź tu i słuchaj! Opowiem ci, w jaki sposób zostałam heterą.

Dorion usiadł niechętnie przy jej łożu, a Lais opowiadała mu cichym głosem:

— Pochodzę z tamtej strony morza. Byłam małą flecistką i chadzałam z towarzyszką po ucztach, weselach i pogrzebach. Zarabiałam uczciwie na skromny kawałek chleba. Pewnego dnia — nie zapomnę go nigdy — zawołali mnie żeglarze do karczmy nadwodnej, gdzie jeden z nich, pijany, połamał mi mój flecik. Płakałam całą noc, aż do świtu: z czegóż będę żyła teraz?

Rano usiadłam na progu i płakałam znowu.

Moja towarzyszka przechodziła koło mnie z nową flecistką. Miały wieńce z róż we włosach i śmiały się wesoło, a mnie mało serce nie pękło z żalu. Naraz przypomniała mi się — sama nie wiem jak — pewna dziewczyna z naszej dzielnicy, która, mimo że była tak biedna jak ja, nosiła jednak naszyjnik z bursztynu i suknie tkane w Byssos. Ona nie miała fletu, ale za to codziennie, gdy miasto zachodziło mgłą wieczorną, a niebo zniżyło się ku dachom domów, stawała w małych uliczkach i zbliżała się do mężczyzn... Na drugi dzień miała zawsze srebrną drachmę.

— »Za jedną drachmę mogłabym sobie kupić flecik!« myślałam z bijącem sercem, a gdy cienie nocne opadły na miasto, poszłam i ja w wązkie uliczki i zbliżyłam się trwożliwie do przechodzącego młodzieńca. On spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakim handlarze oglądają sprzedawane im na targu bydlęta. »Jesteś piękna i młoda!«

Głos Lais załamał się nagle, a oczy nabrały dzikiego blasku.

— Rano miałam moją drachmę srebrną... »Nigdy więcej! przenigdy!« I poszłam, aby flet kupić. Na wszystkich bogów! była to jedyna

moja myśl. Niestety musiałam przechodzić obok starej bramy, przy której kramarze z Tarsos sprzedają wonne essencye. A ja już tak dawno tęskniłam za małą flaszeczką opalową — tak długo! Nie chciałam jej kupić — nie! zapytałam tylko, ile kosztuje? Drachmę. Wzięłam do ręki, aby jej się przyjrzeć i za chwilę człowiek z Tarsos miał mój pieniądz, a ja woniejącą flaszeczkę. Fletu nie było.

Znowu płakałam. A gdy wieczór nadszedł, znalazłam się mimowoli w wązkich uliczkach miasta, zbliżyłam się do innego mężczyzny i nad ranem miałam świeżą drachmę.

I poszłam kupować flet po raz drugi. Na Atenę Kalinitidę! chciałam go kupić! I znów po drodze natknęłam się na kupców z Syrakuz, którzy mieli srebrne wężowe naramienniki. Od dzieciństwa pragnęłam mieć taki naramiennik. Wiesz, wszystkie dziewczęta w naszej dzielnicy miały przynajmniej po jednym, tylko ja nie! Sarakuzanin zachwalał swój towar; odwróciłam się, aby nie patrzeć, ale przecież oglądnęłam się... I znów nie kupiłam fletu.

Lais zamilkła. Spuściła wzrok na piersi, jakby szukała łez swoich pomiędzy perłami.

— Och! Dorionie! I potem nieraz jeszcze przebiegałam nocą ciemne uliczki przedmieścia, zbliżałam się do mężczyzn, zawsze w tej myśli, że będę miała drachmę na flet. Jednak nie kupiłam go dotychczas... Zostałam boską Lais, której lud koryncki stawia w świątyniach posągi z marmuru, sławną Lais, której kochać nie chce jeden tylko Dorion.

Wstała nagle i ująwszy głowę młodzieńca w obie dłonie, przechyliła się w tył i rzuciła mu w oczy cały czar swej wszechmocnej piękności.

— Nie zostawiaj mnie samej wśród nocy! Pozostań u mnie!

Jakiś dziwny obłok przesłonił źrenice Doriona, ale próbował śmiać się:

— Jesteś piękna i młoda.

Odeszli ku złotym słupom, na których spoczywał dom Lais.

A w ogrodzie Adymanthosa zamilkły na chwilę tony cyter i hymnów, taniec skamieniał. Kwiaty i krzewy ścichły nagle, jakby im z zazdrości tchu brakło i głosu.

Lais odeszła i kroczyła wolno obok Doriona przez szpaler różanych krzewów z Cythery,

pod baldachimem z gwiazd, płonących na pogodnem niebie. Za nimi nieśli niewolnicy jej puste łoże.

Doszli ku domowi. Próg zasłany był myrtami. Drzwi stały otworem.

— — — — — — — — — —

Świt różowił od dawna niebo. Lais siedziała na posadzce, obok swego łoża. Jej złociste włosy, piękniejsze, niż słońce, spływały wolno na ramiona i obnażone plecy, a w oczach — dwóch wilgotnych fiołkach — przebijała się cała jej olbrzymia miłość.

Dorion spozierał na nią z tem lekceważeniem, z jakiem patrzą mężczyźni na kobiety, które — niekochane — mieli w swem objęciu, wreszcie podniósł się, nałożył na siebie chlamidę i brutalnie rzucił heterze srebrną drachmę!

— Lais! kup sobie wreszcie twój flet!...

Odszedł. Wdychał w siebie świeży powiew wiatru z nad morza i kroczył spokojnie po zroszonych trawnikach. Słońce świeciło coraz wyraziściej. W zielonych gajach nuciły niewolnice Lais hymn do jutrzenki, a drogą, wiodącą przez dolinę, dążyła gromadka Etyopów ku do-

wi na złotych słupach; nieśli drogocenne dary syryjskiego książęcia dla najpiękniejszej z kobiet Koryntu.

Obrazy nocy nikły prędko z myśli Doriona. Ale wieczorem, gdy nowy księżyc wychylił się z poza wierzchołków Akrokoryntu i posrebrzył marmurowe czoło miasta, rozlewając się migotliwemi falami, po dwoistej zatoce, gdy zeszła noc, niosąca z powrotem wielką godzinę Lais, ogarnęła młodego śpiewaka dzika tęsknota.

Poczuł nagle na wargach czar jej ust gorących, ukazało się przed nim jej ciało posągowe, a krew zawrzała przypomnieniem wszystkich pieszczot i pocałunków hetery. Zimnica nocy ścisnęła mu gardło; był spragniony, męczył się ogromnie. Chciał uciec przed własną swoją żądzą. I biegł... aż stanął przed domem na złotych kolumnach...

...Ale drzwi były zamknięte, jak gdyby się już nigdy nie miały odewrzeć... Z wnętrza dochodziło ciche łkanie fletu...

wi na złotych słupach, nieśli drogocenne dary sycylijskiego księcia dla najpiękniejszej z kobiet Koryntu.

Obrazy nowe mijały prędko z myśli Doriona.

Ale wieczorem, gdy nowy księżyc wychylił się z poza wierzchołków Akrokoryntu i posrebrzył marmurowe czoło miasta, rozlewając się migotliwemi falami po dworskiej zatoce, gdy zaszła noc, niosąc z powrotem wielką godzinę Lais, ogarnęła młodego złotnika dzika tęsknota.

Poczuł nagle na wargach czar jej ust gorących, ukazało się przed nim jej ciało posągowe, a krew zawrzała przypomnieniem wszystkich pieszczot i pocałunków hetery. Zimnica nocy ścisnęła mu gardło, był spragniony, miotał się w ogrodzie. Chciał uciec przed własną swoją żądzą. I biegł.. aż stanął przed domem na złotych kolumnach...

...Ale drzwi były zamknięte, jak gdyby się już nigdy nie miały odetwrzeć. Z wnętrza dochodziło ciche łkanie fletu.

MARTON ZÖLDI.

REWIZYA.

Kiedy sędzia królewskiej kuryi, p. Michał Móry, przyjechał w odwiedziny do swej siostry, owdowiałej pani Devecséry, nie mogła ona nie zauważyć, że brat jej postarzał się nie na żarty. Blade czoło pofałdowane było zmarszczkami, rzadkie włosy zaledwie do połowy zakrywały łysinę, a białko oka zachodziło coraz bardziej matowym, żółtym odcieniem.

Jakiś nieokreślony smutek gościł w szlachetnych rysach tego starego sędziego, coś, niby cicha melancholia widniała w jego twarzy.

W przeciwieństwie do niego, siostra jego Berta trzymała się bardzo dobrze, mimo, że od sześciu lat była już babką. Nic dziwnego! nie siedziała, jak brat w kancelaryi nad stęchłymi aktami, lecz mieszkała z córką, zięciem i wnuczkiem w swych dobrach Csengerskich. Był to typ idealny tych rzadko już dziś widzianych gospodyń, które dobroć szczególną umiały łączyć z bezwzględnem przejęciem się obowiązkami.

Radość z powodu przyjazdu ukochanego brata, tego smutnego samotnika, wywołała niezwykłe

ożywienie poczciwej matrony. Z macierzyńską prawie czułością przycisnęła do piersi sędziego.

— Miszka! Miszka! tak cię teraz rzadko widuję! — mówiła czule.

— Ot! urzędowanie zabiera mi dużo czasu! — brzmiała odpowiedź, połączona z westchnieniem.

— Przed dwoma laty przyrzekłeś mi, że podasz się na pensyę.

Sędzia wzruszył ramionami.

— Na pensyę?! No tak! myślę o tem... byłoby to pewnie nieźle, ale widzisz — pewien rodzaj bojaźni wobec nowych warunków życia powstrzymuje mnie od tego kroku. Człowiek się już przyzwyczaił... Zresztą mniejsza o to! A jakże wam się tu powodzi?

Wdowa uśmiechnęła się.

— Bogu dzięki, nic nam nie brakuje. Zięć mój jest zacnym człowiekiem, znasz go przecież! Z trudnością udało się nam nakłonić go do wyjazdu do Karlsbadu dla podreperowania zdrowia. Nie uwierzysz, jak on kocha swój cichy kącik na wsi i żonę i dziecko i — mogę się tem pochwalić — mnie, swoją teściową.

— Owszem, wierzę!

— Jednem słowem jest nam bardzo dobrze,

mówiła pani Devecsery, a jednak czuję jakiś niepokój...

— To całkiem naturalne! jeżeli zięć jest chory...

— Ach, to nie! lekarz mówił nam, że jest to lekkie cierpienie, które przejdzie w dwóch tygodniach.

— Cóż cię więc niepokoi? zapytał Móry.

— Otóż to, że niańka, stara nasza niańka, opuszcza nas w tych dniach.

Sędzia popatrzył na siostrę.

— Co! niańka? No to dostaniecie inną na jej miejsce!

— Takiej, jak ta, nie dostaniemy nigdy, rzekła pani Devecsery. Przynajmniej nie mam nadziei.

Westchnęła głęboko.

— I to jest nietylko kłopot, ale wprost nieszczęście, o wiele większe, niż sobie wyobrażasz! — dorzuciła.

— Ależ, proszę cię!

— Tak jest, jak mówię, Miszka! Ty tego nie rozumiesz, bo i jak może pojąć rzecz taką nieżonaty? Zastanów się tylko, czy dzisiejsze panie, po większej części nerwowe, a przytem

obarczone tysiącznymi obowiązkami towarzyskimi, mogą zająć się wzorowem lub przynajmniej należytem wychowaniem dzieci? Na służbę wogóle rachować wiele nie można, więc jeżeli czasem Opatrzność ześle niańkę, odpowiadającą swemu zadaniu, to niechętnie chce nam się z nią rozstać. A trzeba ci wiedzieć, że nasza niańka jest to kobieta, nietylko pełna świadomości swego obowiązku i troskliwa o małego Pali aż do przesady, ale umie dokoła siebie roztaczać jakiś dziwny czar, umoralniający wszystko i wszystkich. Nie mówię już o jej poświęceniu się w czasie choroby dziecka, od którego łóżeczka dniem i nocą nie można jej było oderwać. Powiadam ci, to fanatyczka obowiązku.

— No, ale dlaczegóż odchodzi? zapytał sędzia.

— Właśnie z tego jej niezwykłego poczucia obowiązku. Jakiś stary jej krewny, który czuje się osamotniony, prosi ją aby przyjechała do niego. Chcesz ją widzieć? Właśnie nadchodzi z małym Pali.

Sędzia spojrzał. Ta postać sucha, rysy ostre, nos prosty i cieńki, były mu dziwnie znajome...

Nie ulega wątpliwości, że twarz tę musiał gdzieś widzieć... ale gdzie? Móry począł grzebać w pamięci, lecz nie mógł sobie przypomnieć.

Wreszcie sama niańka przyszła mu z pomocą, wymówiła bowiem parę słów do dziecka.

Dźwięk jej głosu głęboki, prawie męski, wprowadził go wreszcie na ślad właściwy... Ta sucha kobieta siedziała przed dwudziestudwu laty na ławie oskarżonych, obwiniona o morderstwo, a senat, którego on był wtedy członkiem, zasądził ją za zabójstwo na ośm lat więzienia. Nawet nazwisko jej przyszło mu nagle do głowy: wdowa Diósi... zamordowała własnego zięcia... Z głuchym spokojem, z całą świadomością ohydy popełnionej zbrodni, ale bez najmniejszej skruchy, stanęła wówczas przed sędziami, jako uosobienie jakiejś antyspołecznej istoty. Pamiętał nawet jej krótkie, cyniczne odpowiedzi...

Kiedy prezydent zapytał ją, co za motyw kierował nią w chwili spełnienia tej okropnej zbrodni, jakiś piekielny błysk rozetlił oczy morderczyni.

— Chciałam, aby taki rodzaj człowieka zniknął raz na zawsze z powierzchni ziemi.

Przypomniał sobie również, że kiedy jeden z członków senatu wniósł na naradzie o zastosowanie okoliczności łagodzących, prezydent i on sam, sprzeciwili się temu, przegłosowali i kobieta poszła na ośm lat w mury więzienne.

Jakiś dziwny niepokój napełnił duszę starego sędziego. Stał bowiem wobec niezbadanej zagadki i nie mógł pojąć słyszanych dopiero słów siostry — tej zacnej, dobrej kobiety i pogodzić ich ze swem własnem przeświadczeniem i sędziowskim wyrokiem, jaki wydał w tej sprawie. Myśl o tem nurtowała w nim cały dzień. Im dłużej się zastanawiał, tem ciemniej i niewyraźniej przedstawiała mu się ta psychologiczna zagadka.

Wieczorem zdarzyło się, że mógł ze starą nianką mówić w cztery oczy.

— Czy znacie mnie? — zapytał nerwowo.

Niańka popatrzyła mu uważnie w oczy.

— Zdaje mi się, że nie — odrzekła spokojnie.

— Ale ja was znam! nazywacie się Diósi, wdowa po Ambrożym, czy tak?

— Tak, to ja jestem.

— Przed dwudziestu laty zasądzono was na ośm lat więzienia?

— Zamordowaliście waszego zięcia?

— Tak.

Móry pomyślał chwilę, wreszcie rzekł:

— Ja byłem jednym z waszych sędziów.

— Teraz przypominam sobie — powiedziała niańka spokojnie, bez najmniejszego wzruszenia

Sędzia patrzył na nią długo; czas, ani więzienie nie zmieniły jej śmiałego spojrzenia, które teraz zwróciła na niego.

Przystąpił bliżej ku niej.

— Słuchajcie, Diósi! — zaczął — siostra moja nie ma słów na waszą pochwałę!

— O! to bardzo zacna pani! Niech ją Bóg wspiera!

— Wiem to, ale chcę mówić o was. Powiedzcie mi, jak to jest możliwe, aby kobieta taka rzetelna, tak pełna poczucia swoich obowiązków, mogła popełnić podobnie potworną zbrodnię?

— Owszem, powiem panu.

W siwych oczach starej kobiety zaiskrzył się na chwilę ten sam błysk straszny, jak wtedy na rozprawie sądowej... zgasł jednak prędko.

— Musiałam to zrobić dobry panie — rzekła smutnie.

— Czemu? — zapytał sędzia.

— Czemu?... To się tak nie da powiedzieć... a właściwie ja nie potrafię... ale niech mi pan wierzy, że jeżeli sto razy musiałabym zabijać, to zabiłabym go sto razy! Panie! Pięć lat cierpiałam, pięć długich lat patrzyłam, jak on moją córkę dręczył i mordował... w moich oczach bił ją — jak ta tęcza niebieska było jej ciało, codzień bezlitośnie smagane, takie sine... ach.. Gdyby to był zrobił po pijanemu, zniosłabym jeszcze może, ale tak, po trzeźwemu, li tylko dlatego, aby cierpiało to niewinne stworzenie, które ja piersią swą karmiłam, a które pisnąć się nie poważyło, podczas, kiedy on z innemi prowadził życie rozwiązłe...

Rozogniła się cała; słowa jej rwały się, długo widać tłumione.

— To jest tylko cud boski, że ja te pięć lat mogłam się temu przypatrywać! i za to mnie też Bóg pokarał... moja córka, moje jedyne dziecko, umarła, kiedy byłam w więzieniu i ja nieszczęsna, nie mogłam jej ujrzeć więcej, nie mogłam zamknąć jej oczu...

Głowa opadła jej na piersi — zamilkła, ale

trwało to tylko chwilkę, bo podniosła ją do góry i prostując się, rzekła:

— Byłabym ostatnią kobietą, gdybym tego nie była zrobiła, łaskawy panie!

— Ale czegóż nie powiedzieliście nam tego wszystkiego podczas rozprawy? — zapytał sędzia niespokojnie.

— O ile sobie przypominam, to tak samo wtedy zeznawałam.

I całkiem spokojnym, ale nieco podniesionym głosem dodała:

— Prawda łaskawy panie jest jedna, i nie można jej dwojako mówić!... Bóg z Panem! już muszę iść przygotować kolacyę dla małego Pali.

— Czekajcie! Powiedzcie mi, proszę jedno tylko: dlaczego chcecie stąd odejść?

— Jeden z moich krewnych, stary kaleka, prosił mnie...

— Któż to jest?

— Marek Imre.

Sędzia zadrżał.

— Marek Imre?! — zawołał — tego przecież zabiliście...

— Nie, łaskawy panie, jego syna.

— I ojciec bierze was do siebie?

— Czemużby nie? On wie, kto jestem...

Stary sędzia królewskiej kuryi przechadzał się z pół godziny nad brzegiem Białego Körösu. W myśli przeprowadzał rewizyę tego procesu. Skonstatował, że podług litery prawa nie było błędu ze strony sędziów, ale mimo to, wyrok był brutalnie niesprawiedliwy. Dwóch członków senatu, on i prezydent, nie chcieli, czy nie umieli odróżnić matki od teściowej... Skonstatował dalej, że ta kobieta otrzymała o jakie pięć lat więcej, niż zasłużyła.

— To plus lat niewinnie w więzieniu przez nią przesiedzianych, zasłużyliśmy, ja i prezydent, każdy z osobna, bo sędzia, wydając wyrok surowszy, niż sumienie pozwala, popełnia zbrodnię, za którą powinien odpokutować tę zwyżkę.

*

* *

W kilka dni po odejściu starej niańki, zdawało się sędziemu, że ulży owemu ciągłemu niepokojowi, jeżeli opowie siostrze i jej córce tę smutną, kryminalną historyę. Jasno i plastycznie przedstawił im wszystkie udręczenia nie-

szczęśliwej, gorzką Golgotę matczynego jej serca, która przepełniła tę biedną duszę niezwykłym wstrętem do kata nieszczęśliwego jej dziecka, tak, że żyła tylko jednem pragnieniem: pomszczenia strasznej krzywdy i ukarania nędznika.

Pani Devecséry i jej córka wsłuchiwały się z natężoną uwagą w każdy wyraz tej smutnej opowieści.

— ...w pewnym momencie bezprzytomnego prawie podniecenia, porwała nóż i położyła trupem tego potwora...

— Dobrze zrobiła! — zawołała pani Devecséry z gorączkowym wypiekiem na twarzy.

— Ja byłem jej sędzią...

— I na jakąż karę ją zasądzono? — zapytała młoda mężatka drżącym głosem.

Sędzia spoglądał chwilę zmieszany na obie kobiety, wreszcie spuścił wzrok ku ziemi i wyrzekł cicho:

— Uwolniliśmy ją!...

STARY CYGAN.

— Co wy tam wiecie?

Stary cygan wzruszył ramionami i popatrzył z lekceważeniem na obu swych towarzyszów niedoli. Mógłby być ich dziadkiem. Taki był stary! Podług aktów sądowych miał siedmdziesiąt pięć lat, naprawdę jednak znalazłby się ich pewnie jeszcze z jaki tuzin. W kotlince przy drodze leśnej, gdzie się urodził, nie prowadzono metryk.

Wygląd miał ogromnie interesujący. Mimo więziennej odzieży, stuletnie burze i upały opaliły mu twarz prawie na czarno, ale błysk oczu pozostał taki, jaki był przed laty. Trzecią część swego żywota przesiedział w więzieniu. I to za same drobnostki. Kradł bowiem tylko tyle, ile koniecznie potrzebował do życia, nie ukradł więcej zapewne ponad to, co tak zwany człowiek cywilizowany potrzebuje w ciągu jednego roku. Co pewien czas wędrował do aresztu, ale to nie wywierało na nim zbyt wielkiego wrażenia. Przyjmował takie nieszczęście, jak naprzykład deszcz ulewny, który zmoczył go nieraz bez najmniejszego usprawiedliwionego

powodu, a przeciw któremu nie pomoże próżne rezonowanie.

Podług jego zapatrywań kradzież nie była wogóle grzechem. A zresztą — cóż to jest takiego wielkiego ta kara? Miał humor równie dobry, jak żołądek, a kajdanki trawił tak samo dobrze, jak świeże masełko.

W tej chwili zajęty był właśnie udowadnianiem swoim towarzyszom, że ostatecznie życie ich nie jest znów tak bardzo przykre.

— Za moich czasów, kiedy to jeszcze były baty i kozioł — to było coś! Sami musieliśmy go ustawiać w podwórzu, a potem dwadzieścia pięć... łup! łup! łup!... A wy co o tem wiecie? Was teraz ani dotknąć nie wolno!

Spojrzał dokoła tryumfalnie, jakby mówił o jakichś bohaterskich czynach i prawił dalej;

— A gdzież jest łańcuch? gdzie kule żelazne? gdzie miesiące o chlebie i wodzie? Ot co? wy mięczaki!...

Wejście dozorcy przerwało rozmowę. Przyniósł czarną tabliczkę i zawiesił ją nad próżnem łóżkiem.

— Oho! Będziemy mieli nowego gościa!—zawołał uradowany stary cygan.

— Tak! — odpowiedział dozorca. — Przyjdzie tu »wielmożny pan«.

Więźniowie wiedzieli, że w zakładzie jest jeden »pan«, ale widzieli go tylko czasem na przechadzce, gdyż, jak każdy, skazany na dłuższą karę, siedział przez pierwszy rok w oddzielnej celi. Teraz zapewne rok się już skończył.

Po chwili wszedł ów pan więzień. Pozdrowił grzecznie siedzących.

— Dzień dobry!

— Daj go Boże!

Wszyscy trzej powstali. Panom należy się szacunek nawet wtedy, gdy są w więzieniu. Stary Ihok oglądnął bystro przybysza. Był to tęgi mężczyzna o dużym nosie i ciemnoniebieskich oczach. Czarne, gęste włosy przystrzyżono mu tuż przy skórze.

— Lepiej tu, niż samemu wielmożny panie? co? — zapytał życzliwie cygan.

Otrzymał krótką odpowiedź:

— Mnie wszystko jedno!

— No! no! — mruknął Ihok i odsunął się zniechęcony.

Tego wieczora nie rozmawiano ze sobą wcale.

Krępowała wszystkich obecność milczącego jegomościa.

Na drugi dzień pozostał stary cygan sam na sam z panem więźniem. Inni poszli do pracy. Przez chwilę siedzieli obaj nie mówiąc ani słowa, aż wreszcie Ihok, który był nietylko gadatliwy, ale i ciekawy, rozpoczął indagacyę i to dość obcesowo:

— Czemże się zbłądziło wielmożny panie?

— Jestem zupełnie niewinny! — odpowiedział spokojnie zapytany.

Stary cygan wykrzywił twarz w ciekawy grymas i męczył się, aby nie parsknąć śmiechem. Nie był wprawdzie przekonany o nieomylności sędziów, ale też uważał za coś niemożliwego, aby niewinnego skazywano na długoletnie więzienie. On sam siedział już coś sześćdziesiąt razy, lecz żeby niewinnie, to mu się jeszcze nie zdarzyło!

Dał też upust swym przekonaniom.

— Naturalnie, że wielmożny pan jest niewinny. My tu wszyscy niewinni i tylko złym ludziom mamy do zawdzięczenia, że tu siedzimy. Ten Rumun, który śpi koło pana, jest także

niewinny. Dostał dziesięć lat za to jedynie, że ojciec nawinął mu się pod siekierę.

Wielmożny więzień nie rozgniewał się na cygana, za jego szyderstwo.

— Mylisz się stary! ja rzeczywiście znalazłem się tu niewinnie!...

Ihok zmieszał się trochę. Miał delikatne ucho i wiedział, że w takim tonie się nie kłamie...

— No! tak, tak! A ileż lat się dostało?

— Dwanaście.

— Dwanaście? Do stu djabłów!

Miał ochotę znowu coś powiedzieć.

— To dużo, to sporo! Tak za nic, to przecież niemożliwe! — myślał stary, ale wczas jeszcze ukąsił się w język.

— A jakże to było wielmożny panie?

Tym razem nie otrzymał odpowiedzi. Zapytany wzruszył ramionami i patrzył przed siebie zamyślony, zupełnie tak, jak dawniej w oddzielnej celi. Przez jaki tydzień nie znalazł cygan sposobności do poruszenia tego tematu i tylko spoglądał na nowego towarzysza z coraz większą ciekawością. Wreszcie został z nim znowu raz sam na sam w zakratowanej izbie.

— Myślę wielmożny panie, że byłoby może

lepiej, gdybyście coś mówili. Czas szybciej leci. Potem ja wam coś-niecoś opowiem, a któż może wiedzieć więcej, niż taki stary cygan, jak ja? Dziś był pan więzień łaskawszy.

— Dobrze! Byłem notaryuszem i bogatym, ale niedobrym człowiekiem...

— Niedobrym? Jakżeż to?

— Kochałem żonę drugiego.

— To nic nowego. Moją żonę także uprowadzono. Niech ją tam dyabli!...

— Kochanką moją była żona pocztmistrza. Piękna, ale zła kobieta, o wiele gorsza odemnie.

— I wy ją zamordowaliście panie?

— Nie, kochałem ją ogromnie. Cała wieś wiedziała o tem.

— Mąż także?

— Podejrzywał nas, a ona lękała się i zaklinała mnie na wszystko, abym męża uśmiercił. Ale ja tego nie uczyniłem...

— Bardzo dobrze, gdyż nie byłoby to słusznie!... filozofował stary.

— Uczynili to jednak inni. Przypuszczam, że ona kazała go zamordować, dość, że znaleziono go zastrzelonego na moście na Dunaju...

Stary Ihok podskoczył nagle w górę.

— Co? na moście? na moście? Wiem, wiem!...

— Co?!

— Do wody chciano go wrzucić, ale zatrzymał się na słupie! Prawda? Nie obrabowano go i pieniądze zostawiono przy nim.

Stary krzyczał i giestykulował żywo.

— Tak, tak! To Lajczi, ja wiem, wiem...

Notaryusz bliski był zemdlenia. Gwałtownym wysiłkiem woli utrzymał się na nogach; podszedł ku cyganowi i pochwycił go za ręce.

— Co wiesz, człowieku? mów!

Stary cygan zląkł się, że za dużo powiedział; oczy mu przybladły, a grzbiet się zgarbił.

— Ja? Co ja mogę wiedzieć? ja nic nie wiem.

— Nieprawda! ty wiesz wszystko! — krzyknął notaryusz. — Czyż nie boisz się Boga? Jak możesz teraz milczeć?

Ihok zgiął się jeszcze bardziej.

— Czego wy chcecie odemnie wielmożny panie? Alboż ja mam wiedzieć to, o czem nawet sąd nie wie? Cóż to ja jestem?

Notaryusz począł go prosić.

— Zlituj się stary! Mam ośmdziesięcioletniego ojca, który leży chory i płacze, jak dziecko.

Nie będzie mógł skonać, dopokąd jego syn siedzi w więzieniu! Czy ty nie masz dzieci?

— Stary i do tego chory — mruczał cygan. To naturalnie nieprzyjemna rzecz. A czy długo już choruje? — zapytał po chwili.

— Od pięciu lat.

I pewnie pana kocha bardzo?

— Ma tylko mnie jednego.

— Jednego?... ja mam ośmiu synów.

Obudziło się w nim nagle uczucie ojcowskie. Zmiękł.

— No to siądźcie panie i słuchajcie: Leżałem w krzakach na brzegu, gdy dokonano mordu. Całkiem blizko. Lajczi go zastrzelił. Widziałem wszystko i będę mówił, powiem wszystko. He! haj! stary ojciec będzie się cieszył!

Zaświeciły mu się oczy, jak wilkowi.

— Teraz niech Lajczi posiedzi. Jemu to nawet prędzej wypada, niż wielmożnemu panu!

— Jak to chcesz zrobić?

— Zostawcie to już panie mojej głowie. Stary Ihok wie, co robić trzeba. Proszę, spojrzyjcie panie na moją tablicę, ile jeszcze dni mam siedzieć?

— Sześćdziesiąt ośm.

— Przejdą wnet. To nic. Jak tylko będę wolny, zacznę mówić! Ale do tego czasu milczcie panie jak ryba, bo moglibyście wszystko popsuć.

Kiedy wreszcie stary opuszczał więzienie, mrugnął na notaryusza.

— Niech was Bóg ma w opiece wielmożny panie! A grzechy swoje trzeba odpokutować!...

Dwa miesiące upłynęły na pełnym mąk niepokoju, aż w końcu otrzymał notaryusz zawiadomienie, że proces jego wznowiono. Lajczi przyznał się do zbrodni, musiano zatem uwolnić niewinnego.

Kiedy opuszczał wreszcie gmach sądowy, spostrzegł starego cygana, siedzącego na kamiennej ławeczce, tuż przy bramie. Szczęśliwy i pełen wdzięczności zbliżył się do lhoka.

— Niech ci Bóg wynagrodzi, stary poczciwcze, za wszystko, co zrobiłeś dla mnie!

— A ojciec żyje? — dopytywał się cygan.

— Żyje, żyje! Ten będzie się cieszył!

— A co?

I cygan wyszczerzył zęby w serdecznym uśmiechu. Śmiał się coraz bardziej, a za chwilę

aż się zaniósł. Łzy spływały mu z oczu, a on ocierał je rękawem koszuli i wykrzykiwał:

— Pomyślcie tylko wielmożny panie: kiedy zeznałem przeciw Lajczemu, począł się rzucać jak wściekły pies i obiecał, że mnie ze skóry obedrze, skoro tylko wyjdzie z więzienia...

I z tego cieszysz się tak bardzo? nie lękasz się go?

— Co? lękać? A toż on dostał piętnaście lat! piętnaście lat!...

I znowu parsknął śmiechem i cieszył się jak dziecko na myśl, że życie starego cygana nie jest przecież wieczne!

się zanosił. Łzy spływały mu z oczu, a on ocierał je rękawem koszuli i wykrzykiwał:

— Pomyślcie tylko wielmożny panie : kiedy zeznałem przeciw Łajczemu, począł się zżymać jak wściekły pies i obiecał, że mnie ze skóry obedrze, skoro tylko wyjdzie z więzienia.

— I z tego cieszysz się tak bardzo? nie lękasz się go?

— Co? lękać? A toż on dostał piętnaście lat! piętnaście lat!...

I znowu parsknął śmiechem i cieszył się jak dziecko na myśl, że życie starego cygana nie jest przecież wieczne!

Zofia Rygier-Nałkowska: Koteczka czyli białe tulipany. Nowele. Cena kor. 2·—

Spis: Koteczka czyli białe tulipany. Cudzoziemiec. Majówka. W szklanej trumnie. Małżeństwo. Zielone wybrzeże. Cierpienie. Dusze izolowane. Sclavae. Dzień ten. Właściciel zamku. Inne. Cnota. Rzeczywistość.

Z głosów prasy: Pani Rygier-Nałkowska wyróżnia się ciekawym i oryginalnym światopoglądem z młodszego pokolenia talentów niewieścich. Pióro jej umie być samodzielne, umie wglądać w najskrytsze tajniki duszy ludzkiej i podchwytywać drgnienia serca, myśli, nerwów, tworząc z tego materyału tak nieuchwytnego nastroje, impresye, szkice o dużej niejednokrotnie wartości literackiej. „Białe tulipany" to klejnocik zbiorku nowel p. Rygier-Nałkowskiej. Równie pochlebnie świadczą o talencie jej opowiadania p. t. „Cierpienie" i „Rzeczywistość". *Gazeta lwowska.*

•

Autorka ma nader subtelny, analityczny pogląd na świat. Najbłahszy objaw w przyrodzie, czy w jaźni ludzkiej, zwiędły liść walający się po ziemi, skrzyp gdzieś daleko zamykanych drzwi, czyjś ruch ręką, czyjeś przymknięcie powiek, jakieś wypicie szklanki wody, wszystkie te maleńkie, pyłkowate zjawiska, rozpatrywane przez powiększające szkło jej obserwacyi, tworzą syntetyczne girlandy faktów jakiejś głębokiej doniosłości, której znaczenie sięga gdzieś w zaświaty. Ta metoda pisarska, przystosowana do drobnych utworów, przy językowem bogactwie porównań i zwrotów i umysłowej, wytwornej kulturze pozwala stworzyć raz po raz prawdziwy literacki klejnocik. *Przegląd lwowski.*

Zofia Wójcicka-Chylewska: Listy do Pana Boga. Spowiedź grzecznej dziewczynki. Kor. 2·50.

Z głosów prasy: Autorka dotknęła pośrednio kwestji uświadomienia, o której nagadano tyle drażniących

frazesów i jaskrawych ogólników na różnych wiecach, i konferencjach zbiorowych. Książka p. Wójcickiej-Chylewskiej w rdzeniu swoim jest duchowo rewolucyjna, w stosunku do utartych pojęć etycznych i konwencjonalnych. Nie chodzi jednak autorce o senzację doraźną, o rozbudzenie ciekawości niespokojnej, ale o artystyczne ujęcie zjawiska i zagadnienia pierwszorzędnej wagi pod względem etyczno-wychowawczym. Tematem zasadniczym powieści jest dysharmonja pomiędzy rygorem etyki konwencjonalnej i dogmatycznej a wszelkiemi prawami życia i szeroko pojętej wolności indywidualnej... Autorce chodziło o protest przeciwko hodowli dusz, opartej na kłamstwie i rygorze powierzchownym, na usypianiu wrodzonego krytycyzmu myśli ludzkiej. Zamierzony temat przeprowadziła pani Wójcicka-Chylewska z konsekwencją i pogłębieniem, harmonizującem z naturą opisywanej sfery, z logiką rozwoju duszy młodzieńczej. *Kurjer Warszawski* (J. Kotarbiński).

•

„Listy do Pana Boga“ są dziełem sztuki. To przedewszystkiem. Dlatego Anusia jest taką żywą i każdemu znaną pensjonarką. Dlatego chociaż zamiarem dzieła było wykazać ujemny wpływ ponurych dogmatów na rdzennie wesołą duszę dziecka, widzimy w niej tyle uroczej poezji, ptaszęcej egzaltacyi i białej, dziecięcej prostoty w porywach religijnych, w praktykach pobożności, w naiwnym prozelityzmie.

Chodzi tu nie o słuszność tego lub owego systemu wychowawczego, nie o prawdę i racjonalność, lecz przedewszystkiem o to maleńkie, śmieszne, trzepocące się bezradnie serduszko dziewczynki. I ten styl — niezaprzeczenie pensjonarski, niezdarny styl — jest autentyczny, jest skopjowany z tych niezliczonych kajecików, które pisały podlotki naszych czasów, przeżywając pierwsze zwątpienia religijne i pierwsze „przebudzenie się wiosny“.

Czytajcie kochający rodzice, coście tyle małostek i kompromisów uczynili „dla szczęścia dziecka“ czytajcie! Niech się wraża w wasze zasnute pajęczyną codzienności mózgi obraz okropnej męki dziecka, nieufności jego do was, ciężaru tego systematu wychowawczego, który milczącem zezwoleniem utrzymujecie! Wczujcie się w osamotnienie

dziecka, które ze swem pytaniem do was zwrócić się nie śmie i ma świat własny, szczelnie od was odgrodzony.

Autorka potraktowała przedmiot oryginalnie i mała bogoburczyni Anusia Lewicka jest prawdziwą polską dzieweczką. Jej chodzi nie tylko o swoje zbawienie, lecz i zbawienie innych. Pierwszy to doskonały przyczynek do psychologii dorastających dzieci w naszej literaturze. I dlatego rodzicom, którym chodzi o rozumienie swych dzieci, nie wolno nie przeczytać tej książki. *(„Sfinks".)*

•

„Listy do Pana Boga" — to niby bardzo naiwny tytuł, zwłaszcza, że autorką ich ma być czternastoletnia pensjonarka. Jeżeli jednak sobie uprzytomnimy te typowe pensjonarskie rachunki sumienia, spisywane drobnym maczkiem na dużych arkuszach papieru, te całogodzinne spowiedzi skruszonych czternastoletnich dusz, „poprawki" przed samą komunją, gdy młodziutkim grzesznicom się zdaje, że czegoś niesłychanie ważnego zapomniały, lub coś niesłychanie grzesznego zdążyły popełnić w ciągu kilku godzin, które spowiedź od komunji dzielą, nie będziemy mogli zarzucać psychologicznego fałszu i przesady w samym założeniu powieści. *„Prawda"* (Iza Moszczeńska).

•

Z nadzwyczajną prawdą umiała autorka odtworzyć zarówno małe troski, jak wielkie męki młodziutkiej istotki, z której wyrośnie zapewne kobieta myśląca (i takie bywają) i czująca głęboko.

Bez wątpienia obok czysto artystycznego celu, miała też p. Chylewska na oku ideę dobra ogólnego. Głęboko współczując z temi biednemi istotami, których najpiękniejsze lata zamiast w weselu i radości upływają w bezustannych mękach i szarpaniach się z własnemi myślami, zda się nawoływać do poświęcenia im baczniejszej uwagi, do przygarniania ich, aby z ufnością zwracały się do nas z dręczącemi je pytaniami, na które same nie mogą znaleźć odpowiedzi. *„Słowo Polskie"*.

włoskiego, łatwiej to wszystko przychodzi, niż wśród wyszarzałych miasteczek.

Cały artyzm autora tchnie szlachetną mocą, wytrawnością i dyskrecyą, poza któremi czuje się bujny żywioł twórczy, świadomy swych dróg i celów, nie spragniony zużywania sił swoich na liche, parweniuszowskie orgie rozwydżonej wyobraźni i oszalałych nerwów, w których ginie smak i dostojność artysty. A zatem, panowie krytycy, bądźmy uważni, przybywa nam siła twórcza pierwszorzędna, która już nie tylko obiecywać, ale i dawać umie hojną ręką. „*Słowo Polskie*“. (Wł. Jabłonowski).

Jan Huskowski: Spojrzenia. Nowele. Kor. 2·50.

Z głosów prasy: Spogląda tu autor swemi zimnemi, jak stal twardemi źrenicami ogromnie głęboko, a zatapia swą sondę krytyczną w otchłanie ciemne, pełne uroku, szarzyzny, bolu, cierpienia i nędzy. Huskowski jest głównie filozofem — obserwującym i naodwrót obserwatorem-filozofującym. Lecz bada, szpera, krytykuje, analizuje spokojnie, na zimno, bez nerwów, bez uniesień, zwolna i nie spiesząc się. Każdy ruch, jaki odbywa jego myśl, ma piętno systematyczności surowej; każde uplastycznienie tej myśli przeszło sumienną krytykę i filtr bezlitosnej analizy. Nic nie mówi na wiatr, nic nie nęci go, co jest płytkie, poziome, łatwe, piękne, ale puste. Ma on pęd i rozmach szeroki. Jeżeli jął się jakiego tematu, to nie jest on zwykłem zjawiskiem, lecz zjawisko to wydarł autor z głębokich przepaści życia. Pęd jego pióra ma podobieństwo rzutu dyskiem, błysku błyskawicy, ostrza sztyletu. Każda rzecz jest krótka, jędrna, zwarta i w tem jego rzetelny talent. W „Spojrzeniach„ niech nikt nie szuka ckliwych opowiadań erotycznych, niech nikt nie spodziewa się, że znajdzie tam zwykłe belletrystyczne pomysły — ale jest w nich za to myśli cały wulkan, filozoficzny spokój i rezygnacya, surowa ironia, gniew i wściekłość na wszelki brud, miejscami cynizm usprawiedliwiony. Kto pożąda silnego nastroju, nowych problemów i świeżych myśli — znajdzie tu. *Nowa Reforma.*

Cały tom świadczy o dojrzałości autora o talencie silnym i na wskróś oryginalnym, po którym wiele należy się spodziewać. Język wszędzie jasny i czysty, dźwięczy metalem silnych porównań, posłuszny woli autora, umie stać się niby błyskawicą aforystyczną, by znowu rozpłynąć się w łagodny nastrój. *Gazeta narodowa.*

•

Autor „Spojrzeń" stwarza rzeczy, wybiegające daleko poza szablon obserwacji zewnętrznych, rzeczy interesujące nie tylko ze względu na ich tragizm utajony, zasłonami dumy młodzieńczej zakryty, lecz także ze względu na ten niezbyt śmiały, lecz dość częsty już uśmiech ironiczny, który najdostojniejszą zwykł zwiastować pogodę. Patrząc na życie nieprzeciętnie, autor umie też nieprzeciętnie mówić o niem. „Spojrzenia" nie są tylko zapowiedzią talentu, są już jego pięknem świadectwem. — *Kurjer lwowski.*

•

P. Huskowski ma talent, ma miłość swojej sztuki, ma poszanowanie formy, w jakiej się wypowiada. Taki fragment „Przed bitwą" jest tego wymownym dowodem. Język, wyzbyty z mętnych dziwolągów, jasny i czysty, dźwięczący metalem silnych porównań, z dużą maestrją wywołuje nastrój śmierciodajnego momentu. — *Słowo warszawskie.*

•

Nowele zawarte w pierwszej części tomu każą widzieć w Huskowskim doskonałego plastyka, umiejącego w zwrotach krótkich, dobitnych, malować stan psychiczny swoich bohaterów. Niektóre z nich dają prócz tematu zupełnie prawie nowego, dużo ekspresyi i tego nastroju, utrzymującego w ciągłem napięciu uwagę i myśl czytającego; inne zaciekawiają rozwiązaniem nieoczekiwanem momentów, wysnuwających się nagle z zupełnie prostego założenia, niektóre znowu interesują egzotycznością pomysłu. Są tu również kartki osobistej spowiedzi, niedomówionej do końca i jakby umyślnie skrzywionej lekką ironią i sarkazmem — nie ma prawie ani jednej banalnej, czczej i bez pewnego wyrazu. *Dziennik polski.*